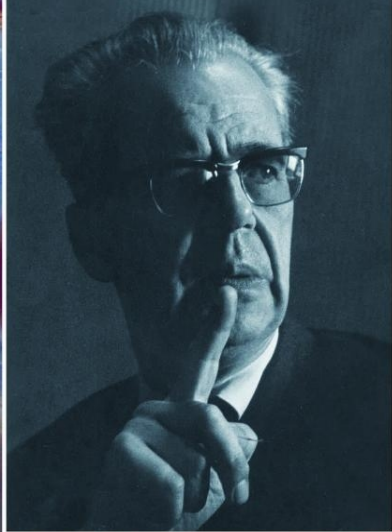


Zygmunt Mycielski



Niby-dziennik ostatni 1981-1987

Projekt graficzny obwoluty, oklejki i stron tytułowych: Janusz Wysocki

Redakcja: Barbara i Jan Stęszewscy

Tłumaczenie tekstów z języka francuskiego: Renata Prażłowska-Woydtowa

Opracowanie indeksu osób: Dobrosława Pańkowska

Korekta: Zespół

Zdjęcie autora na obwolutie: Andrzej Zborski

Zdjęcia na wkładce: Jan Hausbrandt – 5, 6, 7; Bronisław Lutosławski – 4; Maciej Sochor – 3; Marek Suchecki – 8, 9, 10; Andrzej Zborski – 1, 2, 12; pozostałe zdjęcia z archiwum rodziny autora.

Wydawnictwo Iskry dziękuje Państwu Zofii i Ryszardowi Wojtkowskim za wsparcie wydania tej książki.

Copyright © by Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2012

ISBN 978-83-244-0206-9

Wydawnictwo dołożyło wszelkich starań, aby ustalić autorstwo zamieszczonych w książce zdjęć. W odosobnionych przypadkach okazało się to niemożliwe. Dlatego właścicieli praw do zdjęć, z którymi nie zostały podpisane umowy prosimy o pilny kontakt z wydawnictwem.

Wydawnictwo ISKRY

ul. Smolna 11, 00-375 Warszawa

tel./faks (22) 827-94-15

iskry@iskry.com.pl

www.iskry.com.pl

Słowo wstępne

Niby-dziennik ostatni 1981–1987 Zygmunta Mycielskiego, który oddajemy do rąk Czytelników, dopełnia bodaj najważniejszą część obszernej spuścizny pisarskiej kompozytora, krytyka, eseyisty, który prawie przez czterdzieści lat prowadził zapiski, nazywane początkowo dziennikami, potem notami, notatkami, aż ostatecznie pod koniec lat sześćdziesiątych przyjął dla nich nazwę *Niby-dziennika*. Zamyka również – nieformalną – serię opublikowaną dotychczas przez Wydawnictwo „Iskry”, na którą składają się: *Niby-dziennik 1969–1981* (1998), *Dziennik 1950–1959* (1999) oraz *Dziennik 1960–1969* (2001), w opracowaniu redakcyjnym Zofii Mycielskiej-Golikowej.

Niniejszy tom obejmuje zawartość dziewięciu zeszytów ponumerowanych i opatrzonych datami ręką Autora. Większość z nich to ulubione Zygmunta Mycielskiego grube notatniki nietypowego formatu w płóciennym oprawie, w które zaopatrywał się w Paryżu. Niewielka część zapisków należących do tego zbioru udostępniona została przez „Zeszyty Literackie” w numerach 100, 102, 106, 107 i 108, jakie ukazały się w latach 2007–2010.

Ramy czasowe zbioru określa pierwszy zapis z 16 stycznia 1981 i ostatni z 15 maja 1987 roku, niespełna trzy miesiące przed śmiercią Autora. Owe sześć burzliwych lat na trudnej polskiej drodze do wolności i demokracji wyznaczały powstanie NSZZ „Solidarność”, stan wojenny, związane z nim represje i prześladowania, zamordowanie kapelana „Solidarności”, entuzjazm towarzyszący pielgrzymkom papieża Polaka, wreszcie symptomy rozluźnienia polityki wewnętrznej po przejęciu wła-

dzy przez Michaiła Gorbaczowa. Znalazły one w *Niby-dzienniku* odbicie w skrupulatnych kronikarskich zapisach, wnikliwych obserwacjach, śmiałych i niezależnych komentarzach i refleksjach kompozytora i pisarza muzycznego, który sprawy publiczne traktował zawsze z równym zaangażowaniem i odpowiedzialnością, jak powinności wynikające z komponowania muzyki i pisanie o muzyce. Nie był bezkrytyczny wobec narodowej odnowy w duchu „Solidarności”. W czasach ogólnej euforii zachowywał swój chłodny, arystokratyczny dystans, pozostając często w sporze z przyjaciółmi, młodymi zapaleńcami – uczestnikami politycznych i społecznych przemian. Źródłem tej postawy były towarzyszące mu od dawna wątpliwości co do możliwości zbudowania dobrze zorganizowanego i normalnie funkcjonującego państwa. Opierał je na historycznych faktach, a potwierdzenie znajdował w pogłębionej lekturze oraz własnej refleksji na temat losów Polski w ostatnim dwustuleciu.

Trudno się dziwić, że obserwacja i osobisty komentarz do zdarzeń tamtych lat zajmuje tyle miejsca w blisko czterystustronicowym *Niby-dzienniku*. O sile piarstwa Mycielskiego – diarysty stanowi jednak wielowątkowość, wynikająca z jego rozległych zainteresowań i kontaktów w świecie muzyki, polityki, w kręgach arystokracji, jego związków i przyjaźni z ważnymi postaciami skupionymi wokół paryskiej „Kultury”, jego bliskich, ciepłych i szczerych relacji z książęcą parą i dworem Liechtensteinu, żeby wymienić tylko najważniejsze.

Ostatni tom dziennika wzbogaca obraz Zygmunta Mycielskiego jako kompozytora. W czasie, który obejmuje *Niby-dziennik*, powstawały *Fantazja*, *Trzy Psalmy*, *Liturgia sacra*, *8 pieśni do słów Zbigniewa Herberta*, *Ostatnia symfonia* i *Fragmenty* do wierszy Słowackiego, utwór ukończony 9 kwietnia 1987 roku i zamykający katalog jego dzieł. Mycielski dopuszcza czytelnika do tajemnic towarzyszących procesowi komponowania, pełnemu obaw i wątpliwości, również w konfrontacji z muzyką mistrzów, będących dla niego muzycznym wzorem i punktem odniesienia. Uważne podążanie tym tropem, wczuwanie się w jego rozterki, wybory i decyzje pozwala zajrzeć do świata, który twórcy chronią zazwyczaj przed osobami postronnymi. *Niby-dziennik* jest dlatego rów-

niez ważnym i ciekawym świadectwem introspekcji dojrzałego kompozytora, świadomego swego miejsca, a jednocześnie umiającego przyjąć postawę krytyczną wobec własnej muzyki, dumnego z wielu dokonań twórczych, nie zawsze dostrzeganych i docenianych, kompozytora niespełnionego i rozczarowanego niemożnością usłyszenia wielu swoich utworów, poddania ich konfrontacji z publicznością. Chociaż w późnych latach życia dane mu było doznać satysfakcji z wykonanych przyjętych przez słuchaczy i krytykę z wielkim uznaniem, to przecież powodzenie, jakie zasłużenie spotkało *Trzy Psalm*y i *Liturgia sacra*, nie przełożyło się na lepszą znajomość jego twórczości w szerszych kręgach, a sama muzyka nie uzyskała dotychczas odpowiedniego społecznego rezonansu.

Jeśli nie liczyć zapisków przedwojennych, których Zygmunt Mycielski nie włączył za życia do zbioru, dzienniki prowadzone systematycznie od lat pięćdziesiątych pełniły wiele funkcji w życiu ich Autora. Były również dla niego zwykłym notatnikiem, w którym szkicował pomysły muzyczne, utrzymywał myśli do przygotowywanych artykułów i wykładów, robił notatki z lektur; wklejał do dziennika rozmaite dokumenty, włączał listy o szczególnym znaczeniu, a nawet reprodukcje obiektów muzealnych, które pobudzały jego wyobraźnię i otwierały pole do rozważań o sztuce.

Ostatnie zdanie zapisane ręką Autora pod datą 15 maja 1987 roku wyraża wielokrotnie powtarzaną na kartach *Niby-dzienników* wątpliwość, czy przygotowujący je do publikacji potrafi dokonać radykalnych skrótów, jakich – zdaniem Autora – wymagały. Zarówno w odniesieniu do poprzednio wydanych części, tak i w tym przypadku decyzja o integralnym opublikowaniu całości bez jakichkolwiek skrótów i zmian, poza uwspółcześnieniem pisowni i interpunkcji, była bezdyskusyjna. Szczęśliwie się stało, że od początku spotkała się z aprobatą prezesa Wydawnictwa „Iskry” pana Wiesława Uchańskiego, dzięki wyrozumiałości i cierpliwości którego możemy ostatni tom *Niby-dziennika* Zygmunta Mycielskiego udostępnić Czytelnikom.

Barbara i Jan Stęszewscy

Nota edytorska

To wydanie nie odbiega od poprzednich pod względem wierności rękopisowi, a przyjęta zasada najdalej posuniętej powściągliwości w ingerowaniu w tekst rękopiśmienny dotyczy przede wszystkim interpunkcji. Typowe dla Zygmunta Mycielskiego długie zdania, wypełnione ujętymi w pauzy wtrąceniami, odpowiadające charakterystycznemu sposobowi mówienia Autora, zostały w wielu przypadkach poddane uproszczeniu, które polega na zredukowaniu znaków interpunkcyjnych. Nieliczne poprawki stylistyczne dotyczą kilku miejsc, w których były konieczne dla zrozumiałości tekstu. Poprawione zostały błędy w zapisie nazwisk i nazw geograficznych. Dla wtrąceń obcojęzycznych przyjęta została zasada, że zwroty krótkie, jedno-, dwuwyrazowe objaśnione zostały w nawiasach kwadratowych w tekście, co ułatwia płynne czytanie. Kaliki językowe – przede wszystkim z języka francuskiego – którymi Autor chętnie się posługiwał, objaśnione zostały – w miarę możliwości – w tekście lub jeśli wymagały obszerniejszego komentarza – znalazły się w przypisach.

Na niniejszy zbiór *Niby-dziennika* składa się dziewięć zeszytów ułożonych chronologicznie. Ze względów praktycznych, zważywszy na sporą objętość poszczególnych części, przypisy ponumerowano osobno w obrębie każdego zeszytu, z którym są związane. Szczególnie „muzyczny” charakter tego zbioru skłonił nas do rozbudowania przypisów odnoszących się do tej warstwy tekstu. Staraliśmy się jednak, by poza przypadkami szczególnie uzasadnionymi ich objętość nie naruszała zasady proporcjonalności względem innych dziedzin.

Wiernie zachowane zostały wyróżnienia w tekście zastosowane przez Autora (duże litery, podkreślenia). Ze względu na płynność czytania liczby zapisane w manuskrypcie cyframi zamienione zostały na ich formę słowną, ujednolicono również formę zapisu dat. Tytuły dzieł wyróżnione zostały kursywą. Rozwinięcie podanych skrótowo nazwisk oraz nieliczne korekty lub zmiany zapisu oryginalnego ujęte zostały w nawias kwadratowy. Przekłady z języka niemieckiego, przy których nie wskazano autora, pochodzą od redakcji.

Specjalne podziękowania kierujemy do pani Renaty Pragłowskiej-Woydtowej, której wkład we współredagowanie tekstu tego zbioru jest nieoceniony. Zawdzięczamy jej również ogromną pomoc w identyfikacji pewnych miejsc i osób, a także przekłady tekstu, cytatów i zwrotów z języka francuskiego, poza funkcjonującymi w powszechnym użyciu, oraz tymi, przy których nie wymieniamy ich autora. Dzięki jej staranności i trosce o objaśnienia szczegółów dotyczących rzeczywistości tamtych lat *Niby-dziennik* Zygmunta Mycielskiego staje się bardziej otwarty również dla młodszych Czytelników.

16 stycznia – 8 listopada 1981

Warszawa, 16 stycznia

Perspektywa dwóch dni obrad Rady Wydawniczej PWM (27, 28 stycznia), potem mówić 29 w PEN Klubie, potem być na dwudniowym zjeździe Związku Kompozytorów 30 i 31 stycznia i 1 lutego w redakcji „Twórczości” radzić nad rękopisami Iwaszkiewicza – przeraża mnie. Może nieróbstwo, lenistwo czy zmęczenie nieco się cofa, to prawda, gdy muszę coś robić, mówić, ruszać się. Jednakże stan myszy pod miotłą najbardziej mi odpowiada. Wstyd, ale prawda.

Czym jest historia? Poczynając od własnej historii życia, historii rodzinnej, historii wsi, miasta, kraju, narodu, po cały świat?

Moja historia trwa 74 lata, więc lata 1914–1920 i dalsze, więc dzień dzisiejszy widzę historycznie, chociaż nie wiem o dniu jutrzejszym, który terazniejszość stworzy, ułoży.

Nie wszyscy stoją przed bramą, na której jest pisane „za późno”. Tylko niektórzy – bo ogół nie zna co jest wcześniej, za wcześniej, późno czy za późno. Może to jest jednak bardziej powszechne, niż sędzę – taksując ludzi tak nisko, że ich słowa „za późno” nie gnębią – bo niczego nie chcieli, nie zamierzali, do niczego nie dążyli. Chyba to niemożliwe? Chyba każdy człowiek dąży, chce, zamierza – przynajmniej w jakiejś chwili swojego życia, swojej młodości. Dopiero potem, gdy mu urośnie brzuch i włosy wylecą – zmarnieje i wtedy poznajemy go, kim był, kim jest. Kim potrafił się stać.

Nie chcę wpadać w panikę z moim osobistym „za późno”! Jest 5 rano. Jeszcze ciemno. Czemu nie dają mi spać te myśli, które nazywam „za późno”? Zwiększać dozę prosków, żeby jeszcze

bardziej idiociej? Przecie nie mogą brać proszków rano – nie mam warunków Prousta!

Ci, co mają spokojne sumienie, powinni spać spokojnie. Tak by się wydawało. Tymczasem nie chodzi tu o spokojne sumienie, ale o jakiś gatunek spokoju w myśli i czuciu, w odczuwaniu.

18 stycznia

I co z tego, że się wie; odczytuję zbiór Alaina Besançona *Le présent soviétique et le passé russe*¹, który Kisielewski mi wreszcie oddał. Fakty o Rosji były znane od 1917 i 1918 roku, jak znane były fakty z Niemiec hitlerowskich od 1933 roku – ogłoszone jako program w *Mein Kampf*. I co z tego?

W jakim momencie świadomość ogólna, powszechna, reaguje czynem – rewolucyjnym, wojennym? W momencie gdy przełożeni, wojsko, policja odmawiają wykonania rozkazu. W momencie gdy według wzorów Monteskiusza² władza wykonawcza odmawia wykonania wskazań, rozkazów czy ukazów władzy ustawodawczej, politycznej. Gdyby się zaczęły pojawiać (a pojawiają się) strajki w ZSRR, to zawsze można strzelać, zamknąć, wywieźć – tysiące ludzi i ich prowodyrów. Czy zawsze jakieś pułki z Kaukazu czy Syberii będą strzelały do Rosjan lub vice versa? Człowiek ruski buntował się, na wsi, w miastach i portach. W 1917 i 1918 roku klęska wojenna, uderzenie z zewnątrz – jak już w czasie wojny rosyjsko-japońskiej – umożliwiło bunt – w końcu wojskowy, bo to żołnierze przestali słuchać, a ochrana³ została rozbrojona, bezsilna. Ekonomiczne dno było już wiele razy rzeczywistością w tym kraju. U nas różni ministrowie nawołują do spokoju i do posłuszeństwa. Ferment w PRL jest głęboki, niebezpieczeństwo rośnie; wysiłki, żeby to partia opanowała, coraz drastyczniejsze. Jutro Wałęsa wraca z triumfalnej podróży po Włoszech.

„La prise du pouvoir communiste, c’est, avant l’étatisation des moyens de production, la mainmise sur tous les moyens de communication. (...). Tout langage vivant devient dès lors subversif”⁴. Zgadza się to, jak 2+2 jest 4, tutaj, teraz: język robotników i ich

związków całkiem inny od „urzędowego”. Ich zebrania i wszystko, co partia robi, żeby uniemożliwić komunikację, odciąć, skłócić wreszcie miliony członków tych „wolnych związków” z ich „górami”. Uniemożliwić tę komunikację i lojalny dialog, odcinając ich od prasy, radia, telewizji. Dawać wycinkowe i bezradne odpowiedzi i wypowiedzi ministrów i członków KC sprawiające wrażenie, że to partia chce odnowy, a „Solidarność” czy „Mazowsze” bruździ, strajkuje, anarchizuje, spycha kraj na dno ekonomiczne. Wszystko to wynika logicznie z nielogicznego fundamentu, podpisanego w porozumieniu sierpniowym w Gdańsku, gdzie niezależne związki ustanowiono przy zachowanej kierowniczej roli partii. Złapałem się wtedy za głowę, czytając ten tekst. Dodano do tego drugi absurd, że wielomilionowy ten związek nie jest polityczny. To tak, jakby mówić papieżowi, że Pan Bóg jest, ale nie istnieje. Albo że istnieje, ale go nie ma. Wóz albo przewóz. A Rosja jest ciągle jak wystająca z budy głowa psa – twierdzimy tu, że on jest na łańcuchu, ale tego nie wiemy.

Co wiedzieli o rozbiorach Polacy epoki stanisławowskiej?

w nocy

Czy jesteśmy na początku nowej, pełnej udręki drogi? W nieświadomości przewidywania próbuję zobaczyć. A po cóż wiedzieć, czego jest początkiem ten rok? Może minie jak inne i fatum rozejdzie się w płynnym życiu tego kraju, w jego tak mało przejrzystej wodzie. Czytam, a pełne zatrwożeń myśli wracają jak głucho przeczucie tragedii, która – może – się nie rozegra?

Jest dopiero druga, daleko do rana.

Warszawa, 20 stycznia

Kartka od mojej bratowej, Hanki⁵: „Muszę trochę popołgować ze słuchaniem telewizji i czytaniem o tym co się dzieje, bo zanadto się przejmuję. Nienawidzę bałaganu, anarchii i awantur, zanadto mnie to denerwuje. Tak jak mój ojciec, mogę żyć tylko

w jakichś normalnych i uporządkowanych warunkach. Nie mogę spać i trzęsę się wewnętrznie...”.

Po prostu i bez literatury wyraziła to, co odczuwam i przeżywam – mój ojciec też mógł żyć w „normalnych i uporządkowanych warunkach”, był dobrym i dobrze organizującym pracę gospodarzem, pochodził z Poznańskiego i przeszedł przez dobrą, niemiecką szkołę rolniczą. Do dzisiaj pamiętają w Przeworsku jego rządy ordynacją Lubomirskich, budowę cukrowni i „postępową” na przełomie XIX i XX wieku gospodarkę, którą doprowadził na tym obszarze do kwitnącego stanu, wprowadzając meliorację, nowoczesne wtedy maszyny rolnicze, sztuczne nawozy, budując domy dla służby folwarcznej itd., a wszystko to nie na zasadzie teorii o pracy organicznej czy o socjalizmie, ale w praktyce i wzorowej organizacji, takiej, jaka wtedy była możliwa.

Warszawa, 21 stycznia

Na drugiej stronie sztambuchu, który moja matka rozpoczęła w 1892 roku, wlepiona jest piękna fotografia pięknego dworu w Porembie, który mój dziadek Zygmunt Szembek⁶ sprzedał Józefowi Szembekowi. Wszystko to nie istnieje, spalone; zapewne jest staw, może kilka drzew? Bywałem tam jeszcze, bawiąc się jako dziecko z Zuzą i Mariellą Szembekównymi. Zmarły tam one, przygarnięte po wojnie przez chłopów w jakiejś chałupie, gdzie hodowały kozę. Dom był duży, na stopie tego, co nazywano pańską rezydencją.

Pod tą fotografią napisała Mama, w owym 1892 roku: „Naître, vivre et mourir dans la même maison”⁷.

W tym zdaniu zawarte jest wiele ze świata, który mnie ukształcił, pomimo wszystkich moich ucieczek do Paryża, Wilna czy na Bukowinę, przed samą wojną. Dzisiaj w małym pokoiku patrzę na inny świat. Wczoraj kalifornijski gubernator Reagan wprowadził się do Białego Domu. Tutaj nasze dziwaczne polskie społeczeństwo wymiotuje tym daniem, które Rosja nam do zjedzenia podała. Rozmnożony nasz gatunek podważa to, co tworzyło esencję rodziny i czego widowym znakiem był dom: chłopca,

firmy, osiadłej szlachty i pałaców pańskich, warsztatów, klasztorów i plebanii. Mrowisko się zaroilo, wyroilo; jesteśmy wszyscy cząsteczkami w płynie, który coraz bardziej jest potrząsany ogromną ręką, własną ręką, jakby z tychże cząsteczek powstała. Możemy to nazwać ręką Boga, zawsze tego samego Boga, którego nie znamy, o którym mówimy, że umarł. Niebaczni na tę zbieżność, która ze śmiercią Boga łączy zgubę Rodzaju.

W wodzie stawu odbija się całe skrzydło wielkiego dworu w Porembie. Tak dokładnie, bez jednej zmarszczki na wodzie, że można tę fotografię oglądać „do góry nogami” i widzę wtedy wszystko odwrotnie: baszta jest zamiast z lewej, na prawej stronie, a wielkie lipy, świerki i dęby czubami sięgają i w dół, i do góry – jak odbicia w Mickiewiczowskiej *Świtezi*.

Często myślę o wszystkim, co już tylko ja jeden pamiętam, wiem, widzę. Jak zawsze z każdym światem, który każdy człowiek nosi w sobie. Rozmaicie, bogaty, biedny – ale zawsze świat osobisty i jedyny.

Stary człowiek coraz bardziej świadom jest chwili, która za młodu jest jego własną rzeczywistością. Potem topi się, coraz bardziej nieuchwytna. Morze rzeczywistości (?) zalewa moment terażniejszości. Nie mogę się dowiedzieć, co się dzieje w tej chwili, uświadamiając sobie ilość przebytych i przeżytych punktów, o których rewelacje ciągle mnie dochodzą, korygując i manipulując to wszystko, co przeżyłem i czego nie widziałem w 1920, 1940 roku. Dotyczy to i mojej własnej osoby, która kiedyś, słysząc i czytając bitwę pod Marignano, *La guerre* Clémenta Janequina⁸, tylko olśnienia doznawała – głupie dziecko o spóźnionym rozwoju. A dzisiaj? Rozwój tych chwil mnie przerósł, gdy wynosić się trzeba. Zagadka pozostaje nierozwiązana, pudełko, którego otworzyć nie potrafiłem. Myślę wtedy – bo każdy jakiejś pociechy wygląda – kto je potrafił otworzyć? Jeżeli nikt – a tak mi to wygląda – to pozostają ci, którzy wołają „ja, ja!” – dumni, wyniosli, czasami nawet i wzniosli w tym przekonaniu, które wiera rozświetla i pozwala jaśnieć światłem, które spływa na płatki liści, kwiatów, na skrzydła papug, kolibrów, motyli, na skórę lamparta i zebry. Co my jesteśmy winni, że nam przypadł ludzki los w udziale?

Chwila. Jeszcze chwila. Już dawno wiem, że nigdy jej nie chwycę – ani myślą, ani czuciem. Więc skąd bierze się chwila, gdy się wydaje, że to już, że wiem, czuję i nawet wyrazić potrafię? – Tik-tak-tik-tak budzika, jak w wierszu Apollinaire’a⁹. On też już z epoki, gdy tykanie zegara wprawiało w panikę. Czy dawni, ukochani moi mistrzowie mogli popadać w chwile podobne, czy załamanie – rysujące się od tak dawna – zatoczyło dziś kręgi, których już nic i nikt nie zetrze z powierzchni, którą nazwać można powierzchnią i głębią ludzkiej istoty?

Wszystko już wydaje mi się powierzchowne, nawet te ruchy i odruchy tłumne, porywy religijne i patriotyczne, zrywy nienawiści i entuzjasmów, strachy i nadzieje. Wszystko aktorskie, naiwne, bezsilne wobec jakby siły odgórnej, która nieporządek wprowadza wszędzie tam, gdzie zwyczaj trwał długo, przez kilka i przez wiele pokoleń. Bunt człowieka jest buntem przeciwko zwyczajom. Wszystko i każdy ma być niezwykajny, nadzwyczajny – w czasach, gdy wszędzie zaczęto budować takie same domy, ubierać się tak samo, przenosić z miejsca na miejsce z tą samą szybkością. Każdy chce być niezwykajny i inny w świecie, który coraz bardziej się staje taki sam jak wszędzie: paradoks, gdy przez wieki społeczeństwa, nie dążąc do oryginalności, stwarzały i tworzyły tak rozmaite kultury i cywilizacje.

Warszawa, 24 stycznia

Jutro mam jechać do Krakowa na dwudniowe zebranie Rady Wydawniczej Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, potem, 29 stycznia tu mówić w PEN Klubie o „muzykach o literaturze” (?!), z Kisielewskim i Tomaszewskim¹⁰, dyrektorem PWM – akurat temat na teraz! – a 30 i 31 stycznia dałem się namówić, jak osioł, na przewodniczenie na Walnym Zjeździe Związku Kompozytorów Polskich, który zapowiada się burzliwie, choć uważam to za burzę w szklance wody. Niechby się ci koledzy, zrzeszeni w ZKP, cieszyli z uprzywilejowanego miejsca, jakie w tym ustroju zajmują artyści i sportowcy, prawdziwe „pieszczoszki reżimu”. Przecie w żadnym ustroju tylu słabych artystów, niemających nic

do powiedzenia, [nie] żyje na zasadzie państwowych przywilejów, dotacji, zamówień, wydawców – nawet wykonań. Wykonuje się tu i wydaje rzeczy, które przy jakiegokolwiek demokratycznej konkurencji nie ujrzałyby światła dziennego!

Boję się tej tygodniowej aktywności, będąc w stanie ciągłego usypiania, nieuwagi, niepoznawania osób, które znam „od zawsze”. W dodatku stan kraju nie tylko mnie płoszy, ale i irytuje, a więc i męczy – że najchętniej zniknąłbym z powierzchni tego globu, nie mogąc stworzyć we własnym umyśle koherentnego obrazu tego, co się dzieje. Nie mogąc łączyć obrazów z przeszłości z teraźniejszością i jakąś projekcją, dążeniem w przyszłość. To znaczy: co należy robić zaraz i teraz. Należałoby zmienić „charakter” Polaków, żeby potrafili organizować pracę i znaleźli (odnaleźli? Ale czy ją miewali?!) chęć do pracy, tego plaisir de bien faire¹¹, który cechuje Francuzów, Niemców, Anglików, Amerykanów, Japończyków... Bardzo to ogólne i powierzchowne ujęcie sprawy, ale kto chce, ten zrozumie, o co mi chodzi.

W XVIII wieku mówiono często, że Polska nierządem stoi. To nie był żart, ale teoria, że takiego kraju „nikt nie ruszy”. Dzisiaj obserwuję, często stykam się z argumentem, że w tym stanie ekonomicznym, w jakim jesteśmy, Rosja nie zechce i nie może nas „brać”, jako zbyt wielki dla niej ciężar – bo co zrobić z krajem, w którym bierny opór sprawi, że ta Polska będzie dla Rosji zbyt dużym ciężarem właśnie. A wtedy przecie Ameryka i państwa zachodnie przestaną nam pomagać, dawać pożyczki, dostawy itd. Czy takie rozumowanie nie styka się z teorią, że „Polska nierządem stoi”?

W takim ujęciu przygotować odczyt dla PEN Klubu czy do Dubrownika, po niemiecku, jest mi czymś nieznośnym. Najłatwiej jest milczeć i... nic nie robić. Nawet do Michnika nie mam ochoty iść. Czuję się jak wykastrowany szczur. Biegać czy jeździć do Kisiela, Michnika, Andrzejewskiego, do papieża, Miłosa czy Wałęsy, do prymasa czy Sołżenicyna?! Miotać się, gdy całe pokolenie młodszych o kilkadziesiąt lat aż dudni od krzepy, nadziei – od zawiści i lęków też, ale innych niż moje.

Stopień świadomości, którego znany nam szczytem jest człowiek. W dodatku ten stopień jest niewątpliwie różny, rozmaity u każdego z ludzi. Związany z maszyną, która funkcjonować mo-

że do stu lat i funkcjonuje podobnie, jak w całej rodzinie kręgowców. I która to maszyna wtopiona jest, wraz z całą masą indywidualnych świadomości, w społeczności zbiorowe, których sumę nazywamy ludzkością. (Stada zwierząt, roje owadów różnią się od świadomości zbiorowej człowieka). Ten zbiór usiłujemy podporządkować czy też usprawiedliwić jakimś dążeniem celowym, nadać mu sens ogólny, zbiorczy, jako wspólny i ciągły proces: żeby było lepiej, żeby to nie było chaotyczne. Podświadomie, a też i świadomie, spekulatywnie i uczuciowo, poszukujemy kształtu dziejów: Historia. Religia. Filozofia. A tajemnica jednostki i jej sumy (zbiorczej) pozostaje od trzydziestu mniej więcej wieków równie ciemna, zaledwie domyślna i imaginacyjna. Nie do przewidzenia pojawiające się i zachowanie jednostki, przy pewnych, możliwych do przewidzenia, zachowaniach zbiorowiska, tłumu, cechach narodu, rasy też: zbiorowe entuzjazmy, okrzyki, wyciągania rąk: Johnny Hallyday¹² na estradzie, Hitler, Jan Paweł II, Wałęsa; entuzjazmy Amerykanów, Francuzów, Murzynów, wojna, Częstochowa, nienawiści narodowe czy prześladowania Żydów, czarownic, heretyków. Rewolucje czy wojny krzyżowe, podboje i ofiary, patriotyzmy i gorączka złota. Ogony ludzkie do wystawionej (w Tokio?) *Giocondy* Leonarda czy do mauzoleum Lenina. Był tam przez jakiś czas i Stalin, to i do Stalina chodzili, przestali chodzić, gdy go usunięto i złożono w grobie za mauzoleum twórcy rewolucji październikowej. Teraz Francuzi odkrywają ze zdumieniem, że i w Chinach jest i było za Mao Tse-tunga okropnie, a Amerykanie odkrywają, że 50 ich „zakładników” było przez 14 miesięcy bardzo źle traktowanych w Iranie. (Czy oni tam w Ameryce sądzili, że tym „zakładnikom” przynoszono śniadanie do łóżka w dobrym pensjonacie?). Naiwności, owczy pęd, bezmyślność, jakby człowiek pozbawiony był własnej, indywidualnej myśli, przy tak przecie ogromnej różnicy każdego poszczególnego indywiduum.

Zdawałoby się to wszystko niemożliwe. Gdy jednak widzę tłum, gdy słyszę odpowiedzi na zadawane w ankietach pytania, zmuszony jestem bardzo nisko szacować jednostkę ludzką. A jednocześnie, gdy się z tą jednostką zetknę osobiście, w cztery oczy, i zadam sobie trud, żeby w jakiś sposób własne serce i własną troskę otworzyć i okazać zainteresowanie bliźniemu, znajduję –

w większości wypadków – jakby „ukryte skarby” w niemal każdym – czy to robotnik, chłop, chłopiec, który czegoś pragnie, czegoś oczekuje, nad czymś cierpi – choćby tylko nad sobą.

Teoretycznie, możliwy jest taki rozwój jednostki, żeby i zbiorowość „coś z tego miała”, znalazła sens istnienia, rozwijając świadomość, która tkwi w każdym człowieku. Obok naszych możliwości istnieje jednak coś, co – szukając odpowiedniej nazwy – nazwać mogę ujarzmieniem człowieka. Ujarzmieniem przez co, przez kogo? Przez jakie pozostałe warunki bytu na ziemi, współżycia z innymi?

Pomiędzy rozwojem indywidualnym a rozwojem zbioru istnieje powiązanie – u roślin kwiaty, liście, gałęzie, pień, korzenie – nazywamy to wszystko razem drzewem. U ludzi, daleko nam do zbiorowego kształtu, który groziłby koszmarną wizją roju, mrowiska czy termitiery. Właśnie brak tego zbiorowego kształtu ludzkości pozwala na rozwój świadomości, który tak nas od zwierząt różni.

Ratuje nas koncept [pojęcie] duszy i koncept Boga. Kwestionowanie tych „konceptów” niszczy naszą (ludzką!) esencję. Nie znajdujemy bowiem niczego w ideach dobrobytu, wolności, co by nas chroniło przed zejściem do rzędu funkcjonującej – sprawnie czy mniej sprawnie – maszyny lub do zbioru, który nie podlega żadnym innym prawom niż prawa danego właśnie zbioru. Jedyne nadzieję pozostaje wtedy już tylko organizacja zbioru, a ta posłużyć się może tylko siłą, przemocą: demokratyczne wolności są tylko doraźnym „paliatywem”, który nie może być stosowany do całości tego ludzkiego zbioru. Funkcjonuje tylko przy pewnym, korzystnym w danej chwili układzie stosunków, na niewielkich stosunkowo obszarach. Jest jakby rezultatem „zbiegu okoliczności” – to prawda, że przy współudziale Amerykanów, Anglików czy Francuzów – ale to nie jest recepta dla „reszty świata”. Pozostaje więc branie jako podstawowej rachuby, rachuby przypadku, deus ex machina procesów dziejowych, których kierunkową jest: jak trzymać i utrzymać masę ludzką w jakim takim koherentnym a nie anarchicznym stanie.

To, przy końcu drugiego tysiąclecia, jest już widocznym jak na dłoni problemem numer jeden. Wynałazki, ekologia, rozmno-

zenie, coraz bardziej komplikują sprawę owego jak i w imię czego utrzymać „jaki taki porządek”, czyli istnienie naszego gatunku, tego zbioru wielomiliardowych świadomości, których nagle i nieprzewidziane przebudzenia, w rodzaju naszego Związku „Solidarność”, „Mazowska”, czy związków chłopskich, świadczą, że Polacy nagle zwymiotowali narzucony przez Rosję porządek i władzę partii, która też, w polskiej wersji, nie wytrzymuje własnej „wewnątrzpartyjnej dyscypliny”.

Sejmiki w XVIII wieku, aż po Sejm Czteroletni, były czymś podobnym – a potem – powstanie, a więc bunty tego kraju co kilkadziesiąt lat. Do konkretnej samoorganizacji nigdy tu nie dochodziło, poza krótkim okresem 1918–1939. Im więcej o tym okresie myślę, tym więcej cenię rolę Piłsudskiego, zwłaszcza w ciągu dziesięciolecia 1914–1924. On i próbował, i stworzył wtedy coś, co było jednak możliwie podobne do demokracji! A w każdym razie powstało państwo, które od pierwszej chwili swego istnienia odrzuciło zdecydowanie wariant bolszewicki i – wręcz nieświadomie – uchroniło ówczesną Europę przed ówczesnym bolszewizmem, którego za krzepłe oblicze straszył świat od przeszło 60 lat.

Może naszym przeznaczeniem jest historyczna rola, coś jakby „od cudu do cudu”?! Podobnie jak niezwykła historia Żydów w historii świata, tak i nasza historia – może być przyrównana do jakiejś szczególnej misji, o której nasi wizjonerzy tak często pisali? Wszystko jest możliwe, są rzeczy na ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom ani racjonalistom. Więc i ja też – cóż robić?! – należę do tej społeczności, której nazwa POLACY tak często kością w gardle mi stoi.

A przyszły tydzień, z wizją – znowu – generalnego strajku, to jeden więcej ciężki tydzień! I tak, z tygodnia na tydzień, jakoś się żyje, jakoś istnieje, jakoś to będzie, nie damy się, Polacy wszystko przetrzymają... Nie do pojęcia!

Warszawa, 1 lutego

Tymczasem miałem dla siebie ciężki – wręcz fizycznie – tydzień: dzień po dniu, dwa dni Rady Wydawniczej PWM w Kra-

kowie, powrót i zaraz prelekcję w PEN Klubie, potem 2 dni Walnego Zjazdu Związku Kompozytorów, gdzie dałem się namówić, żeby prowadzić obrady. „Spuchłem” wczoraj, gdy każdy chciał czego innego ze statutem, członkami nadzwyczajnymi, kandydatami itd. Aż poprosiłem, żeby mnie Szweykowski¹³ zastąpił. Cały ten nasz związek żyje jakby poza tym, co się w kraju dzieje – takie to w każdym razie robi wrażenie. Lutosławski tak ładnie powiedział parę słów, że mi się płakać chciało – ledwie dotrwałem do północy w sali Muzeum Etnograficznego.

Warszawa, 3 lutego

Widząc w TV zebranie „Solidarności” z Wałęsą – fajka, sweter pod szyję, odpowiedzi pewne, ale już zautomatyzowane – myślę, jaką jest grozą TEN socjalizm dla sztywnych panów, którzy – w ZSRR od dawna, a tu od 35 lat – obrosli w swoją pewność i w jakieś już pozory form EUROPODOBNYCH. Nasi socjaliści z Wybrzeża, a teraz już i z całego kraju, doznają pierwszego szoku wobec konieczności pertraktacji, zderzenia z różnorodnością spraw i ludzi, z moralnością, która stoi przed prostym faktem, że trzeba mieć biuro, samochód, a nie przeładowany autobus, jakąś obronę przed wielotysięczną klientelą, a nie bezpośredni kontakt charyzmatycznego trybuna z wiecem i zadymioną salą, w której padają pytania, okrzyki, interwencje. Styl rewolucyjny to dobre na początek. Potem trzeba rządzić, organizować pracę, biuro, sekretariaty i kartoteki, hierarchię i kształt demokracji – czy autokracji. Nawet kształt bezpośredniości, prawdy i uczciwości, który każda władza po swojemu realizuje i... przekracza.

Warszawa, 4 lutego

Na Walnym Zjeździe Związku Kompozytorów uchyliliśmy wniosek, który swego czasu (1951?) wykluczył Romana Palestra¹⁴ z ZKP. Przychodziły wtedy takie ukazy w stosunku do kompozytorów, którzy byli lub wyjechali za granicę – Szałowski¹⁵ też,

Spisak¹⁶ – nie, bo tu przyjeżdżał i utrzymywał stosunki z Polską. Gdy padło nazwisko Panufnika¹⁷, Baird¹⁸ oświadczył, że wypadek Panufnika jest (był) inny, bo Panufnik dostał paszport „pod” gwarancję Serockiego¹⁹ (zmarł on teraz) i onegoż Bairda. Byłem tak śmiertelnie zmęczony przewodniczeniem zjazdu (przewodnictwo to, zresztą, oddałem Szweykowskiemu, nie wytrzymałem dłużej trzech bezsennych nocy i siedzenia na zjeździe do blisko północy) – że nie zareagowałem – co mnie teraz gnębi. Byłem za słaby, fakty zapomniałem – zamiast podać w wątpliwość „gwarancję” Bairda, tak wtedy młodego – twierdził, że miał z tego nieprzyjemności (a cóż ja miewałem za „nieprzyjemności”) – w końcu nie chciałem wywoływać ogromnej dyskusji w sprawie wyjazdu Panufnika, co do której wiem, że wielu członków ZKP ma pretensje, zastrzeżenia: nawet Kisielewski, który by mnie nie poparł. Ciągnąłem więc dalej sprawy statutowe i oddałem wszystko w ręce owego Szweykowskiego, czułem się (wręcz) bliiski jakiegoś omdlenia (czy serce?) co – zresztą – pocziwy Patkowski²⁰ dostrzegł i pocziwie podszedł do mnie: „jesteś zmęczony, oddaj przewodniczenie Szweykowskiemu”. Bardzo mu jestem za to wdzięczny.

W kraju: nawet Staś²¹ tak jest zasumowany: 2 dni temu koło pierwszej w nocy, idąc spać powiedział: „Co będzie z Polską?”. To, na Stasia, jest więcej niż „gdybyś rozkroił me serce, nie znajdziesz w nim nic krom słowa Ojczyzna” (czy tak jakoś, cytuję).

W numerze informatora wewnętrznego dla kół nauki i techniki oświaty „Solidarność” (25 I nr 2/14), na 13 stronie: „...przysłuchując się mnóstwem spraw bieżących Krajowa Komisja Porozumiewawcza nie jest w stanie o wszystkich sprawach decydować, rozstrzygać o nich w sposób demokratyczny i z zachowaniem zasad statutowych. Szczególne znaczenie zdobyli w niej eksperci, którzy w sposób oczywisty przekraczają swoje kompetencje, przyjmując często rolę decydentów. (...) Wiele decyzji istotnych dla Związku nie zostało, z niewiadomych przyczyn, dotąd podjętych, np. sprawa regionalizacji (wyznaczenie okręgów działania poszczególnym MKZ-tom [Międzyzakładowym Komitetom Założycielskim]) czy

też ordynacji wyborczej w regionach. Wydaje się, że cały mechanizm podejmowania decyzji w związkach wymaga zasadniczej reformy. Jeśli go nie zmienimy – grozi nam katastrofa. Instytucje te staną się urzędami, związkowymi dworami, na których kwitnąć będą personalne intrygi”. Dużo takich zjawisk, jak to z demokracją. Sejmiki, Ursus, huty, stocznia, nie mówiąc o sprawie „Solidarności Wiejskiej”, wreszcie zakłady w małych miejscowościach. „Robi się olbrzymi chaos” pisze przewodniczący „Solidarności” w Miejskich Zakładach Komunikacji w W-wie „nasz region przestaje kontrolować sytuację”.

7 lutego

Dziwne te dwa: racjonalizm i irracjonalizm. W końcu, najbardziej sceptyczny umysł przyznać musi, że istnieją takie fakty, jak wiara czy uczucie. Cóż więc robić z faktem religijnym, nawet wtedy, gdy on pociąga za sobą absurdalne twierdzenia, dogmaty, przepisy?

Rozum jest tylko częścią całości, jaką jest człowiek. Jego myślenie, jego zachowanie i gest. Gest, w sensie ruchu i odruchu, zarówno uczuciowego, jak umysłowego. A co dopiero za dziwactwa, gdy się przyjrzymy twórczości artystycznej! Niczego tu zrozumieć ani wyrozumieć nie można!

Dalej siedzimy w kraterze wulkanu, w którym lawa wrze, a wulkan (jeszcze) nie wybucha.

Warto dodać, że nie sposób dostać masła, nawet płatków owsianych, którymi się żywię wieczorem, z mlekiem. Mleko jeszcze jest. Owies przecie rośnie na najgorszych polach czy półkach. Takie braki, od największych cementowni i fabryk po podstawowe produkty, to załamanie wszystkich dziedzin produkcji, rolnictwa, przemysłu i handlu nie wydaje mi się możliwe do WYSANOWANIA²² w jakimś znośnym, rocznym, dwuletnim terminie. Wziąć

się do dobrze zorganizowanej pracy w tym systemie, u nas, to wymaga gruntownych zmian systemu, ustroju, nie mówiąc o edukacji, która wypłeniła tu pracę fizyczno-indywidualną, produkcyjno-zarobkową. Kolosalny procent ludności obja się po biurach, gada i dyskutuje. Czy może to przywrócić chłopom wiarę w nienaruszalność ich statusu, gospodarstwa? Czy może stworzyć warstwę ludzi, którzy dbają o swój warsztat, fabrykę, sklep?

8 lutego

Wszczęte śledztwo przeciwko KSS KOR? Prowokacja? Głupota? Decyzja, żeby utopić wszystko, skończyć z buntem, kontrrewolucją, wolnościami, które się śnią Polaczyszkom; a gospodarczo takie jest dno, niemożność i niedołęstwo, że – może zamykając jednych – dając kartofle (skąd?) innym – posłużyć się można tymi, którzy nawet nie znając historii, znajdą drogę targowiczian.

Jutro, pojutrze, za miesiąc czy rok?

Warszawa, 11 lutego

Gdy czytam o rozruchach – od maja, w Zurychu, alkoholicy i narkomani awanturują się tam z policją, która nie może ich pochodów opanować – nie chce mi się śmiać: człowiek potrzebuje awantury, starć, niebezpieczeństw, wojny w końcu. Człowiek musi być trzymany za mordę. Biedny czy bogaty, atakowany jest – jakby – przez własną naturę. Tutaj, chyba tylko jakiś sojusz zdyscyplinowanej „Solidarności” z – jakąś (?) – po swojemu zdyscyplinowaną i rozumnie (!) tolerancyjną partią mógłby „coś dać”. Czy to możliwe? Nie wygląda na to. Dziś minister obrony Jaruzelski zostaje premierem PRL. Kolejna próba – może generalski, czyli wojskowy porządek, z tym polskim generałem.

Wczoraj, na (drogim) targu na Polnej, ani masła, 2 kg kartofli „spod lady” kupiłem. Gruba przekupka: „Panie, chłopcy się zbierały. Póki im onych związków nie dadzą, to oni kartofli nie do-

wiozą”. Sąd odłożył na miesiąc zatwierdzenie „Solidarności Wiejskiej”. Żeby to nie był związek, ale jakieś stowarzyszenie.

Tu zawsze odkłada się „wszystko” na później. Temporyzacja²³ i bezsilność.

Nawet rozważania na Zachodzie na temat zadłużenia Polski (24, a zapewne więcej miliardów dolarów) przypominają – z dalszej perspektywy – sprawę długów Stanisława Augusta. Ale Stanisław August zostawił – przynajmniej – pięknie rozbudowaną Warszawę, a z tych miliardów teraz co zostanie, co mamy? Bez-użyteczne i nierentowne fabryki, rdzewiejące maszyny, zatrzymane inwestycje.

Świat wygląda dziś jak bezmierne stado, którego poganicze tylko jedno mają na oku: „opóźnijmy koniec świata”.

Świat karał filozofów, jak karał proroków. Pierwszych za stawianie pytania, skąd wzięli się bogowie, drugich za świadectwa dawane o Bogu. Człowiek wpadł na pomysł, że ludzie muszą się bać bogów. Wtedy bowiem będą się bali, nawet skrycie, grzeszyć myślą, mową i uczynkiem. Wprowadzono więc pojęcie bóstwa. Głoszono, że jest to „duch wiecznie żyjący, który słyszy i widzi...” etc (*Syzyf* – z ułamków *Kritiasa*²⁴, okres sokratyczny). Od 25 wieków ten PROCES trwa: Człowiek – Bóg, Bóg – człowiek. Oś naszej historii i prahistorii. Podejrzany Sokrates, podejrzany Plato, niby idealista. Podejrzani wszyscy, którzy myślą, podejrzani bezmyślni, choć łatwiej nad nimi panować. Podejrzani bogaci i biedni, podejrzany świat, człowiek i Bóg.

Przerażenie, że świat przestanie istnieć, jest logiczne tylko z osobistego, cielesnego – że tak powiem – punktu widzenia. Czyż bowiem tak rozklekotany wóz może jeszcze ujechać choć kilometr drogi? „Piękny wóz” powie poeta, „Jedyny jaki znamy, więc może i piękny” powie zwykły śmiertelnik, obdarzony szczyptą inteligencji. „Pełen błota ten wóz” powie ten, kto – zniechęcony – ma dosyć świata. Wszyscy mają rację, swoją rację, nie mogąc przyjąć ultima ratio, której szukamy, od kiedy nauczyliśmy się zapisywać słowa, a więc i myśli.

Pozostaje mi więc okno. Nad zbyt wysokim dachem przychodni lekarskiej widzę skrawek nieba, nad nim chmury, a czasami słońce. Właśnie wygląda, w lutym. Lute słońce.

Warszawa, 19 lutego

Wczoraj byłem wieczorem u Georgie de Bénouville²⁵, która tu wpadła samolotem na 2 dni z Paryża. Był St. Lipkowski²⁶ i J. Zamoyński²⁷. Dała nam jakąś kolację. Zaobserwowałem z moim gatunkiem wstydu, że potnę na kawałki francuski ser, dobry pasztet en terrine, pomarańcze, z myślą, żeby to zabrać. Nie jesteśmy tu głodni, ale już na jedzenie patrzymy jak na rzadką zdobycz. Przypomniały mi się czasy głodu w obozie, gdy zatykałem uszy, słysząc, że ktoś w kącie je coś ukradkiem. Nigdy się nie pchałem do jedzenia jak teraz; wolę zdechnąć, niż łapać ukradkiem ser, kielbasę czy owoce tym, co to wszystko mają. Doprowadzić kraj do głodu jest zawsze winą głodujących. Ich niesprawności: administracyjnej, organizacyjnej. Bezmyślnego mnożenia się wszędzie – jak dzicy, którzy nie łączą faktu kopulacji z zapłodnieniem (póki nie WYMYŚLĄ hodowli?...). Jest coś upokarzającego i prymitywnego w kraju za biednym. Jest coś egoistyczno-ograniczonego w kraju zbyt bogatym. „Oto człowiek” można by powiedzieć, odwracając sens ewangelicznego przekazu, którym K.H. Rostworowski²⁸ zaczyna *Miłosierdzie, Caritas*.

Może to, co napisałem, tłumaczy moją niechęć do wyjazdu: Monte Carlo, Paryża, nawet Vaduz, nie mówiąc o Kalifornii u pani Porter²⁹. Kazio [brat]³⁰ atakuje mnie o przyjazd do Johannesburga... Nie mam już kurażu na to wszystko!

Papież objeżdża triumfalnie Filipiny, Japonię. Te przemowy, jazdy od Markosa³¹ po najbiedniejsze dzielnice, okrzyki milionowych tłumów wokoło białego pojazdu, wśród tańców, piór, kwiatów, też mnie irytują – ale nie chcę być skwaszonym staruszką, który tylko tak reagować potrafi. Nie znajduję terminu na francuski GRINCHEUX [zrzęda]. Z tego powodu nie idę na przykład do Ad[ama] Michnika.

Mój drogi Karol Staniszewski³² mówił o „niewolniczej duszy”. Pewien stan braków i biedy tworzy duszę niewolnika. Nie chodzi o dostatki i bogactwa, ale o poczucie równorzędności w stosunku do możliwych tego świata. Nie być onieśmiałym, gdy się widzi ministra, biskupa, milionera, „wielkiego człowieka”. Nigdy

mi nie przychodziło do głowy, że jestem biedniejszy, mniejszy, mniej utalentowany, gdy się stykałem np. ze Strawińskim czy dzisiaj z Pendereckim. „On sobie, a ja sobie”. Może gra tu rolę i pewien „arystokratyzm” – nie chodzi tu jednak o to, że jestem lepszy czy gorszy. Można to też nazwać: nie mam, ani nie chcę mieć kompleksów. Iwaszkiewicz przez całe życie pamiętał, że był nauczycielem u Woronieckich (?), czy – że Tonio Sobański³³ go nie przedstawił swojej matce. Takie rzeczy nie mogą mi przychodzić do głowy na marionetkowym dworze u Rainiera³⁴, z Pendereckim, czy dlatego, że ktoś mnie nie zauważa. Ale też nie potrafię się skarżyć na moją *conditio* ani się puszyć, że służący mi czyścił buty w Wiśniowej, gdzie życie było skromne, ale i surowe w stosunku do dzisiejszych wygód, łazienek, temperatury w hallu i w korytarzach. Myślę o epokach, które przeżyłem, siedząc dziś w jednym zagraconym pokoju, z pięcioletnią służbą w niewoli niemieckiej, na najniższych szczeblach tej drabiny, którą stworzył człowiek.

Dopiero teraz przeczytałem (w polskim numerze „Osservatore Romano”) pełny tekst drugiej encykliki Jana Pawła II *Dives in misericordia* – tak jak z przemówieniami, „za długo, za dużo, za często”, jakby chciał ilością zapchać nadmiary ilości. Z jego jazdami jest podobnie: oblatuje i objeżdża teraz na białym rydwanie Filipiny, a miliony Filipińczyków wiwatują, tańczą i krzyczą. W encyklice – jak we wszystkich dokumentach, do których przywiązuję większą wagę niż do codziennych wypowiedzi – uderza zawsze ten sam ton, mesjanistyczny, eschatologiczny, apokaliptyczny. Nowy Testament i Biblia są niewzruszoną podstawą całego wyводу – rozwinięta przypowieść o synu marnotrawnym i teologiczna próba uzasadnienia „równowagi bożego miłosierdzia i sprawiedliwości boskiej”, co styka się z problemem zła, grzechu i śmierci. Splątane to jest, bo i od zawsze w chrześcijaństwie niedopowiedziane: skąd bierze się zło i nieszczęście? Jan Paweł nie sięga do źródeł, którymi są walki i strącenie zbuntowanych aniołów. Wskazuje na motyw miłosierdzia i dobroci w Biblii (*hesed*, *hesed werahamim*³⁵) – co tylko potęguje nasze wątpliwości – możemy przecie wskazać i cytować tyle wersetów, w których Jehowa jest mściwy, napast-

liwy, wręcz okrutny! Stąd i cała strona Miłości Bożej, Boga, „który tak ukochał świat, że Syna swego jednorodzonego” złożył (w ofierze?) za grzechy ludzkości, jest koncepcją może i wspa-
niałą, ale niemieszczącą się w ludzkim umyśle, jak nie mieści się w nim ofiara Izaaka i tyle innych biblijnych opowieści. Jan Paweł próbuje wytłumaczyć świat i los człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże – udaje też twórczy i ufny optymizm – prześwieca tu jednak koniec tego świata, bimillennium i apokaliptyczna wizja zniszczenia, którego narzędzia człowiek, boskie stworzenie, wyprodukował. Nie sposób też wytłumaczyć papieżowi sensu nierówności, egoizmu, głodów, klęsk i prześladowań. Odwołuje się do wartości, wstępuje na najwyższy poziom moralności – jakby nieistniejącej czy tylko dla wybranych dostępnej. Śledząc ten bosko-papieski proces, widzę wiwatujące masy, błogosławiącego im „człowieka w bieli” i pogrążający się w masowym nieszczęściu świat, którego nie może uratować „dziesięciu sprawiedliwych”. Ten piękny i wzniosły tekst sprawia wrażenie „bezradności na tronie”, a wiele ustępów brzmi jak kazanie świątobliwego proboszcza, który zwraca się do tłumów, pragnie ochrzcić świat, nazywając wszystkich „ludem bożym”, podnosząc Eucharystię na wysokich trybunach tak, aby ją wszyscy i zewsząd widzieli. Stary proces, żeby całą zgromadzoną ludzką skupić wokół jakiejś świętej sprawy. Karol Hubert Rostkowski też bił się o to, nie tylko w *Judaszu*, *Kaliguli* (Demetrius!) i *Miłosierdziu*!

Przez cały optymizm papieski prześwieca groza, widmo katastrofy, której ofiara krzyża i misterium zmartwychwstania nie mogą zażegnać.

Wieczorem, skandalicznie bezradny, głupi i twardogłowy dialog czterech panów, którzy usiłowali bronić marksizmu, powiedziec, że nie jest on martwą doktryną i stekiem zbankrutowanych frazesów, w które nikt już nie wierzy. A gospodarka jak leżała, tak leży, od sześciu miesięcy nie można w tym ustroju poprawić funkcjonowania jednej fabryki, przedsiębiorstwa, kopalni też. Może teraz indywidualni chłopci wezmą się „za lepszą robotę” – ale czy ich synowie wrócą na małe i zbyt rozdrobnione poletka, żeby orać, siać, zbierać, hodować świnię i krowy?

Warszawa, 20 lutego

Czemu uciekam od muzyki na pustynię – bez wyobraźni. Bez uczucia innego niż ta przestrzeń sucha i jałowa. Poza jej horyzontem strach, rozpacz czy zwątpienie bez sensu.

A kilka skromnych taktów (choćby z *Sekstetu* Mendelssohna!) – więcej życia, jak na łące; życie, życie! Co dławi i jest dławiące, co zbawia?

Nie dopuścić, żeby gasła ochota do życia?

Odczytuję *Uranie* i *Wieżę*, trzecią część tego wiersza, który Jarosław Iw[aszkiewicz] pisał kilka dni przed śmiercią – mając osiemdziesiąt kilka lat.

3 marca

Wczoraj w PEN Klubie Paweł Hertz³⁶ mówił o Jarosławie, Hani³⁷ i o śmierci, a Jurek Lisowski³⁸ gwałtownie zaatakował tych, którzy zarzucają Iwaszkiewiczowi kolaborantstwo, ugodowość – mówił o jego zasługach jako prezesa Zw[iązku] Literatów, redaktora „Twórczości”, nawet o trudnościach z cenzurą, którą na własnej skórze odczuł, gdy szereg jego rzeczy długo musiało czekać na wydanie. Potem Andrzej Łapicki i Hanna Stankówna, bardzo źle, z bardzo złą dykcją, recytowali wiersze i prozę – *Uranie* i *Wieżę*, *Ogród na Stawisku* z *Ogrodów*, wiele innych rzeczy. Jarosław ma metafizyczny lęk przed nicością, fizyczny lęk przed ciasnym, zimnym grobem, przy zachłannym stosunku do urody, urody ciała przede wszystkim. Jak może istnieć artysta, który nie jest namiętny? Byli może i tacy, ale czy sztuka bez namiętności jest możliwa? Może zegarmistrz, może jakiś kronikarz, ale artysta „prawdziwy”?! Jarosław miał namiętność, którą określiłbym jako „zwierzęcą namiętność”, co dobrze rozumiem, bo i mnie to jest bliskie. Ale Jarosław zawsze się kochał (czyżby też zwierzęcą miłością?), co u mnie inaczej wyglądało... Długi temat! Pełno go w jego prozie zwłaszcza – nie mówiąc o życiu. Miłosz, gdy przeczytał *Uranie*, ostatni wiersz Jarosława, był przerażony NIHILIZMEM tej „postawy”. Mnie nihilizm Jarosława nie razi –

zapewne i ja widzę nicość, która nas ogarnia. Powiem, „kosmiczną” nicość ziemskiego losu. Z upływem lat paraliżuje mnie to, a nie chcę, żeby ta nicość była związana z niemożnością starczą.

Marysia, córka Jarosława, dała mi na tym wieczorze list, do otworzenia w domu. Myślałem, że tam będą jakieś pretensje – np. żebym bronił pamięci ojca przed atakami, czy coś takiego. Tymczasem znalazłem w tym liście czek na 30 000 zł i list: „Bardzo, bardzo drogi Zygmuncie! Wszystko, co napiszę poniżej, potraktuj za zwykłe i naturalne. Ojciec mi przekazał ustnie polecenie opiekowania się przyjaciółmi w potrzebie, a gdyby nawet tego nie zrobił, uważałabym to za swój obowiązek wobec Jego pamięci. Podróż, jaka Cię czeka, pociąga zapewne wydatki. Zawsze możesz uważać moją «kiesę» za swoją. Zresztą, ja święcie wierzę, że wszelkie usługi jakoś się zwracają, mnie też pomogli, kiedy mi było trzeba. Pieniądze nie dają przyjemności, jeżeli się ich z kimś nie dzieli. Przyjmij, Kochanie, ten czek. Realizuje się go w banku na placu Napoleona, na parterze, po prawej stronie od wejścia. Całuję Cię mocno Marysia Iwaszkiewicz”.

Nigdy tyle pieniędzy od nikogo nie dostałem. Odpisałem Marysi wzruszony jej przyjaźnią. Hojnością też. Niestety większego mieszkania nie kupię, ani nawet mięsa czy masła, ale będę mógł przed wyjazdem pomóc Z., Kl., K., paru osobom, którym czasem coś posyłam – sam teraz mało wydaję... Odpisałem zaraz Marysi.

Świat był – w jakimś sensie – „normalny” do tych dni, gdy w 1945 roku zniszczona została jedną bombą Hiroszima, a drugą Nagasaki. Od tego czasu pogłębia się świadomość, że przyszłość ludzi i świata zależna jest od jednej decyzji i jednej sekundy. Do 1945 roku przyszłość ziemi i świata rozciągała się w bezkresny w praktyce horyzont szeregu wieków i pokoleń, które kiedyś się skończą, ale to kiedyś jest odległe, nie dotyczy ciągów z ojca na syna. Przez ostatnie 36 lat obserwuję, jak mnożąca się ludzkość uświadamia sobie bezpośrednio zagrożenie swego istnienia. Jest to całkiem nowy element w naszych dziejach, niepodobny do strachów z czasów pierwszego millenium czy okresu upadku cesarstwa rzymskiego.

Wszystkie sklepy są tak puste, że wspominam i widzę porewolucyjny stan rzeczy w Rosji, gdy kobiety posiadające jeszcze pierścionki oddawały je za bochenek chleba. Chleb tu jeszcze jest – ale

na targu sprzedają już „spod lady” kilo mięsa za 3 i 4 dolary, a kilo cukru za 100 złotych. Rzuciłem okiem do wnętrza sklepów żywnościowych: zupełnie puste półki, siedzący personel palił papierosy, nawet nie było ogonka, bo nie było po co stać. Uczucie wstydu za tę polnische Wirtschaft [polska gospodarka] – przy 25 i 30 miliardach długów dolarowych; nasi wierzyciele radzą nad tym w Paryżu – mają nam dać dalsze 12 (!) miliardów dolarów na spłatę i spłatę procentów. Ciągłe nie mam odwagi, kurażu, żeby pójść do Michnika czy Kisielewskiego. „Polska nierządem stoi” mówiono ongiś, a teraz „Rosja przecie nie może ani zechce brać takiego ciężaru (ekonomicznego) na swoje barki”. Śliczny „program” polityczny!

Jakiś – sympatyczny zresztą – bubek chce zrobić film o mnie! Też pomysł! Wykręcam się od tego od paru miesięcy. Chce mnie brać w lecie do Wiśniowej, nawet jechać za mną z kamerą do Paryża, żeby kamera patrzyła na te miejsca moimi oczami! Pokazałem mu album Mamy z paru fotografiami z Wiśniowej. Oni na mnie patrzą jak na „żywą historię”!

Warszawa, 4 marca

Byłem dziś u Adama Michnika. Zastałem innego niż wtedy, gdy triumfalnie wrócił z więzienia. Zagadnąłem go o projektowaną na 8 marca manifestację studentów: „Studenci to baranki. Dynamit to robotnicy w wielkich zakładach. Ja przy nich jestem ugodowcem” – widzi on w tym wielkie niebezpieczeństwo. Zapytany o „gaszenie pożaru wiaderkiem” przyznał, że „Solidarność” i oni tym gaszeniem tylko są zajęci, że „Solidarność” traci panowanie nad masą robotniczą. „Czego oni chcą? Zmiany ustroju? Sprawy bytowe? Rosja?”. „Oni chcą wypierdolić partię”. Pytany o szczegóły i o ludzi biadał nad poziomem wywiadu z Wałęsą, który się ukazał w „Tygodniku Powszechnym” – a wreszcie – mnie on pytał – czemu Rosja jeszcze nie interweniowała – a przy pożegnaniu jeszcze: „Co ty myślisz – oni tu nie wejdą?”.

O sytuacji gospodarczej mało mówiliśmy, on, jak prawie wszyscy tu, główny nacisk na sytuację polityczną kładzie – wreszcie –

na brak reform ekonomicznych. Mówiłem mu, że póki partia będzie mogła zachować – choćby pozory tylko – panowania tu nad sytuacją, póty Rosja nie będzie interweniować, nie ma ochoty na – choćby czasowe tylko – zamknięcie kurka dostaw z Zachodu – technologii, żywności, pożyczek. Widzę, że i w oczach Michnika, Kuronia, sytuacja jest bardzo groźna, a żywioł robotniczy drży jak wulkan przed wybuchem. Wiedzą oni, czym grozi wybuch, ale...

Parę słów do Prymasa skierowałem w sprawie 8 marca. Ma to być tylko odsłonięcie tablicy wewnątrz gmachu Uniwersytetu. Michnik zapewniał mnie, że nie wyjdą na ulicę.

Wracałem. Staś, bardzo spokojnie, oświadczył mi, że pralnie nie przyjmują bielizny do prania, bo nie mają proszków (do prania). Jesteśmy w sytuacji jakichś afrykańskich państweczek czy azjatyckiej biedoty. Jeszcze nie umiera się tu z głodu – ale – czy kobiety, które mają jeszcze pierścionki, nie będą ich wkrótce oddawać za bochenek chleba – jak w Rosji po rewolucji? Staś mi mówi: nie ma wojny, będziemy się tu urządzać.

Tak. Nie ma wojny, nie ma trzęsień ziemi. Można tu żyć – czy jednak będzie można żyć? Jak długo?

Warszawa, 6 marca

Wychowany w atmosferze krakowskiej szkoły historycznej (z przełomu XIX na XX wiek) widziałem przyczyny upadku Polski nie tylko w stosunku sił naszego państwa do sił Rosji, Prus i Austrii, ale i w naszych własnych wadach i cechach ustrojowych, działających przez cały XVII i XVIII wiek. Tak samo i dziś, nie mogę wszystkiego zwać na importowany z Rosji ustrój, ale stan kraju widzę także jako wynik niedołęstwa i kryminalnej mentalności takiej partii, jaką ten kraj wydał, na pohybel narodu, który zwymiotował ten porządek w sierpniu 1980. Nasze miejsce, otoczenie wianuszkami demokracji ludowych, jest niedobre, ale niedołęstwo gospodarcze przekracza to, co się w tej dziedzinie dzieje w Czechosłowacji, NRD i na Węgrzech czy w Jugosła-

wii. Było u nas sporo szlachciców, którzy czytali różne dziwne książki z najrozmaitszych dziedzin, a folwarki się waliły, na źle uprawionych polach rosły chwasty, a okoliczni handlarze z żydowskich miasteczek pożyczali właścicielowi na weksle po 100 i 1000 złotych do chwili, gdy zbankrutowany „wylatywał z majątku”. Dużo takich przykładów widziałem, czasami trwało to długo – gdy było dużo folwarków i morgów na sprzedaż. Michałowscy z Dobrzechowa sprzedawali najpierw majątki, potem folwarki, a wreszcie morgi naokoło folwarku i domku, w którym mieszkali po spaleniu w 1915 roku pałacu, stojącego w pięknym parku. Kilkanaście lat potem reforma rolna zniszczyła i najlepiej prowadzone majątki, aż wreszcie partia zniszczyła cały kraj, obciążając go miliardami dolarowych długów. Takim rezultatem gospodarczym poszczycić się może tylko Rosja, ale latyfundium rosyjskie, od Władywostoku po Łabę, wytrzymuje stokroć więcej i trwać może dłużej niż priwiślański kraj i jego niecierpliwi mieszkańcy.

Nasza wspaniała klasa robotnicza to nowa beczka prochu, potężniejsza niż wychowankowie szkoły rycerskiej, podchorążowie 1830 roku i wymykający się do leśnych partyzantów szlacheccy synowie. Łatwiej tu o Króla Ducha niż o dobrego gospodarza. Takiego jak Eugeniusz Kwiatkowski³⁹, Lubecki⁴⁰ czy Tyzenhaus⁴¹.

Mój wyjazd, projektowany na 19 marca, napętnia mnie przeżeniem w miarę, jak się zbliża ta data. Wyobrażnia podsuwa mi obrazy zablokowania, w jakimś Paryżu czy Vaduz – nie wytrzymałbym perspektywy niemożności powrotu tu, bycia tu, gdyby na (trzykrotne!) pytanie Michnika: „Czy myślisz, że Rosja będzie interweniować?” odpowiedź miała być twierdząca: tak, i to rychło. Na razie myślę, że Rosja ma dużo czasu, według recepty „niech się Polacy we własnym sosie gotują”. Gdyby jednak partia przestała panować nad POZORAMI panowania nad sytuacją tu, to Rosja wkroczy, nagle i niespodziewanie – i pozostanie nam wtedy tylko modlitwa-suplikacja: „od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie”. Polacy żarliwie się modlą,

gdy jest źle. Teraz, z papieżem na czele, modlitwy będą miały temperaturę słoneczną. – Boże, zmiłuj się nad nami. – Ale cóż, skoro ja nie widzę Bożego miłosierdzia, widzę tylko ludzką niemoc, ślepotę, bezradność i małość, z której tylko nieliczne egzemplarze dźwigają się, każdy według sił, które znajduje, którymi zaopatrzyła go NATURA (!) – A poza tym przypuszczać można, że Rosja znajdzie szczególną jakąś formę interwencji, ingerencji może. Czy możliwe to jednak będzie bez opanowania „wszelkimi możliwymi środkami” (par tous les moyens) kilkuset tysięcy, a może i paru milionów ludzi tu? Czy wystarczy zamknąć parę tysięcy ludzi? Czy, czy...

Polacy liczą jednak zawsze na „jakoś to będzie” – bo i rzeczywiście niełatwo jest stąd ruszyć 35 milionów ludzi, nawet jeżeli jest to kraj o granicach „na kółkach” (od Dniepru po Łabę?!). Przetrawanie jest jakąś cechą czy cnotą bierną – ale inaczej bierną niż bierność rosyjska, ich bierność wobec własnej władzy. Jesteśmy tu jak jakaś europejska ZAWALIDROGA, pomiędzy Rosją a Niemcami. Czymś niewygodnym, a niemożliwym – jak dotąd – do usunięcia. Jesteśmy, istniejemy. Voilà tout... [ot i wszystko].

Odczytuję *Podróż włoską* Goethego, zdumiewa mnie jego pogoda, prawdziwa apollińskość. Jego Rzym i Neapol to samo słońce, obfitość, ludzie na swoim miejscu, a on w tym świecie szczęśliwy. Cienia buntu w tym świecie, który już zaraz potem wkroczył w 1789 rok. Szczęście człowieka Północy, który się dorwał do Morza Śródziemnego, do Italii, w której widzi raj, pomnożony żywym jeszcze geniuszem jego mieszkańców.

Warszawa, 10 marca

Wczoraj, po dwóch godzinach czekania, dowiedziałem się, że nie ma decyzji z moim paszportem – za miesiąc, może wcześniej (16 marca?). Wobec tego nie jadę do Dubrownika na zjazd, sądę, że na jury Monte Carlo pojadę, że to „niedopatrzienie”, bo przecie „dużo gorsi ode mnie” dostają teraz paszporty. Nie mam sił, żeby się o to awanturować przez Związek Kompozytorów czy ministra kultury (Tejchma⁴²).

Wiadomości o stanie gospodarczym ciągle i zewsząd coraz gorsze. Na rozmowach Kani⁴³ i Jaruzelskiego w Moskwie strona rosyjska, na najwyższym szczeblu, z Breżniewem, Andropowem i generałami w mundurach, miała przed sobą grube pliki tekstów „Solidarności”, KOR-u, artykułów, jakie u nas się pisze, wydaje. Takie teksty dla nich to przecie dowody kontrrewolucji!...

Marysia Iwaszkiewicz znowu tak serdeczny list mi przysłała. Prosty, ludzki.

Z każdym dniem wzbierają zagrożenia: rozłamy w „Solidarności”, w partii, pociągnięcia cofane po kilku dniach, prowokacje, dotąd „niewypały”, cierpliwość i niecierpliwość Moskwy, jak za Stackelberga⁴⁴, Repnina⁴⁵, Sieversa⁴⁶. Niepokój, krater. A ludzie chodzą spokojnie, to to jest narodem, co widzę na ulicy, przez okno, na dworcu kolejowym? Abstrakcja? Beczka prochu, sojusz robotniczo-chłopski, taka to realizacja hasła wypisanego na sztandarach rewolucji rosyjskiej?! Zagrożenie na wszystkie strony – tous azimuts dla partii, Rosji, Polski, komunizmu, dla Zachodu i Wschodu.

Listy proskrypcyjne. Według dobrze przygotowanych takich kół, ile można wywieźć ludzi, wagonów, pociągów. Robiłem takie rachunki w 1945 roku, gdy tu przyjeżdżałem. Po 36 latach wracam do tych rachunków; licząc tylko po 40 osób w wagonie, w pociągu można „lekko” wywieźć 2000 osób. W ciągu dnia 20 000. W ciągu 10 dni 200 000, a w rzeczywistości dużo więcej: pół miliona. Ile trzeba (dziś) wywieźć Polaków, żeby „uspokoić” Polskę? Bardzo dużo? „Wcale nie tak dużo”?! – Okropne rachunki. Brzuch mnie z tego boli, „Panie, weźmij służę twego” wzdycham – ale o innych, o wszystkich innych, jak myśleć?? Niech się ten Pan Bóg zlituje już raz wreszcie. Nad nami. Nad światem. W Oświęcimiu, Treblince, na całym archipelagu – ale też i wszędzie, gdzie ludzie giną z przemocy, głodu i wojny. Od wieków, od czasu gdy pierwszą suplikację człowiek odniósł do Boga, trwa modlitwa i trwa przemoc, głód, wojna. Z wnętrza krateru mamże wyjechać na jakieś zielone łąki czy do paradnych hoteli – przebierać w karcie z panią Beck⁴⁷ i Aurikiem⁴⁸ – szukać, jakie wino zamówić?!

Człowiek – dobry, zły.

Człowiek – mądry, głupi.

Mówi się „ludzie”. Liście nie mówią „drzewo”. Ludzie mówią: „ludzie”, naród. Jeżeli jest mało dobrych, a dużo złych, mało mądrych, a dużo głupich, to tak, jak z bogatymi i biednymi. Biednych jest zawsze więcej.

Liście, pień, ziarno. Świadomość. Co wiemy o świadomości? O całości? Ile zasługi ma mądry i dobry, ile winy głupi i zły? Liście, choć każdy jest inny (liść każdy, i inny), nie są bardziej do siebie podobne niż człowiek do człowieka. Różność ludzi zaciera się w tłumie, w dużej ilości dostrzegam czerwony kapelusz, ale nie widzę mądrości, dobroci, znaku, którym wyróżnia się Adam od Piotra.

Gdzie jestem, gdy patrzę na swoją nogę, a myślę gdzie indziej, czując, że myślę w głowie, a nie ma mnie w nodze. Czy jestem poza głową, w której zakodowałem myśl? Jeżeli nie mam duszy, a mam tylko mózg, to moje ręce i nogi, ogon u zwierząt, odwłok osy, te dodatki do czegoś, co mówi „ja”, są tylko zestawieniem elementów, bez których nie ma psa, osy: człowiek z głową konia, „niedźwiedź z głową Batorego”, monstrum tylekroć rysowane; Pegazy, Syreny, zaczarowane królowny. Mnóstwo ożywione, od kamieni i roślin, po Anioła Stróża. (Obecność aniołów!!).

Nie mogę się więc nigdy obejrzeć, zobaczyć tego, czego nie widzę, widzieć, gdy oślepnę, istnieć, gdy umarłem? Co umarło, musi ożyć, co żyje, ma umrzeć. Przestrzeń i czas są ludzkim wymysłem – ale światło, co to jest światło, które mierzy nieskończoność, rodzi się i niknie, zaczepia o nasz świat i naszą duszę w tym świecie. Ona – jest tylko gatunkiem jakiejś poprzeczki, na której chwila się odbija, skacze; może w bok, w nieoczekiwany wymiar czegoś, co nas łączy z potokiem tej nieskończoności.

Wymyślony przez człowieka zaświat i świat, który taką ilość form i gatunków wydał.

Pojawia się człowiek i do form wydanych przez świat dodaje swoje. Nowe i inne, w innym robione kształcie, z materiału, jaki znajdzie. Ręką, głosem, mową przekształca i zniekształca świat, tworzy prawa, wymyśla sprawy, których żaden z przyrodzonych

nam zmysłów podyktować nie może. (Skąd się wziął rachunek różniczkowy, a skąd *Te Deum* i kwartet Beethovena? Jakże jest ich źródło, jeżeli jest wspólne i jedno, z człowieka?).

Myśl nie jest autonomiczna i niezależna, jak to wielu sądzi. Ona wybiega poza powody i skutki, przyczyny i cele, którymi kieruje się rozum.

Mówimy wtedy różne rzeczy, na przykład „intuicja”. Poza intuicją jest jednak jeszcze coś. Czy tylko nieliczni to wiedzą i czują? Tak, jak ci nieliczni, bogaci, mądrzy i dobrem tknięci, poza zasługą i winą?

I znowu tylko liście i drzewa, ludzie i tłum, który faluje póki Ziemia i księżyc się kręcą. I słońce też.

Części mowy.

System szeregów. Ich zmiana (zmiany).

„Napisz to – przez 20 lat muzykolodzy będą się zastanawiali, czy to ma sens” mówi mi Staś. (Oni się nawet nie zastanawiają co ma sens, oni BADAJĄ!). A to tylko modulacje.

Głupota nie powinna wzbudzać uczucia pogardy. Przecie jestem bezzdenie głupi wobec byle kogoś, kto coś wie dokładnie! I nie ma mnie pocieszać fakt, że mądrość to co innego niż wiedza.

W złości myślę, jaką głupotą jest nie spać. Dochodzi piąta. Za piętnaście minut piąta. Teraz spać – czy brać się za coś, gdy nie mam na to sił? Henio Krz[eczkowski]⁴⁹ mówi, że to lenistwo. Może tak. Ale co to jest lenistwo?

5.45

Dnieje. Fioletowe chmury na skrawku nieba, które widzę na lewo, nad dachami, zaczynają świecić. W samolocie, gdy lecę na wschód, nie odrywam wzroku od wschodu, gdy słońce tak szybko wschodzi. Tu czekam, wypatruję, tyle, ile mi wolno z małego pokoju na tym skrawku nieba zobaczyć. Prawo do przestrzeni też jest nam odbierane. Prawo do chleba i prawo do nieba, do miejsca w przestrzeni i przyrodzie. Mógłbym wyliczać prawa

naturalne i prawa sztuczne, jak naturalne i sztuczne zakazy, nakazy, według naszego gatunku, takiego, jaki był i jaki się tworzy, realizuje, w miarę jak się masa ludzka mnoży i przystosowuje do zmiany warunków. Myśleliśmy, że dochodzimy do czegoś, aż spostrzegamy, że i odchodzimy od tyłu naturalnych praw i warunków. Nogi były do chodzenia, ręce do roboty, głowa do myślenia, oczy do patrzenia i widzenia, uszy do słuchania i słyszenia. A ciało i dusza do czego? Ciało do kochania i do śmierci, a dusza dla Pana Boga? Czy to uproszczenie, czy komplikacja? Wszystko razem, ale nie maszynka, automat, statystyka. Człowiek wyrwał się spod rozkazów i posłuszeństwa, aż popadł w niewolę automatu i statystycznych rachunków. Czy ma TO WSZYSTKO rozwalić?

Nie chcąc stukać na maszynie, zrobię tu brulion listu do Kisielewskiego.

[Tekst wykreślony]

Dużo lepszą redakcję tego zrobiłem na maszynie – idę wysłać i coś kupić do jedzenia.

Według streszczenia książki o PRZECIĘTNYM AMERYKANINIE – statystyczny obraz takiego (*American Averages. Amazing Facts of Everyday Life*⁵⁰), taki przeciętny Amerykanin jest szczęśliwy. Mój dwukrotny rzut oka na ten kraj nie przeczy konkluzjom pani Grapin⁵¹, która podaje mnóstwo cyfr z owego statystycznego obrazu USA. Wierzę, że kraj i społeczeństwo, które ONI TAM SOBIE URZĄDZILI, jest najbliższe dostępnym i możliwym do zrealizowania nam tu ideałom. Wierzą w Boga, mają po samochodzie na dwie osoby, którym jeżdżą po swoim miasteczku, pragnienia i ambicje nie zdają się przekraczać możliwości (i dostępności) ich zrealizowania. Myśląc o Ameryce i o przyczynach jej „przeciętnego stanu zadowolenia”(!), które można – ogólnie! – postulować (a więc „przeciętnego zadowolenia Z SIEBIE?!”), porównuję to z przyczynami NIEZADOWOLEŃ w Europie czy – inaczej – w Azji. I myślę, że przyczyn tych można się doszukiwać w PRZECIĄŻENIU historią, historycznością, która na każdym miejscu gęsto osiedlonej Europy istnieje. Anglik, Irlandczyk,

Hiszpan, Niemiec, Polak i Włoch – emigrując do pustej Ameryki odciął się, zatracił balast historyczny, ciężący na każdym z nas, tu, gdzie każdy sąsiad jest wrogiem, faktycznym czy potencjalnym. Rysują się w Ameryce rywalizacje stanowe, rywalizacje i wrogości rasowe, ale – jak dotąd – nie ma tam rywalizacji i wrogości narodowych – a to jest ich wielką wygraną. Żołnierz amerykański, którego widziałem, gdy wkroczył do Europy w 1945 (i 1944) roku, nie mógł pojąć „co tu się dzieje”. Dlaczego Niemcy walczyli i mordowali w obozach i na wojnie Francuzów, Rosjan, Polaków, Żydów itd. Nie mieściło się to w ich pojęciach. A jak dzisiaj pomieścić się może w ich pojęciach stan ekonomiczny i gospodarczy Polski? I nie tylko w oczach Amerykanina, ale i zachodniego Europejczyka, [jak] pomieścić się może fakt, że w dużym kraju nie potrafimy wyprodukować dość kartofli, cukru i masła, śrubki i uszczelki, opony i łopat czy widel?

Dlaczego i jakie są powody tej dezorganizacji pracy, wrogości do zysku, własności, rentowności, itd.? Dlaczego teoria ekonomiczna niemieckiego Żyda sprzed 100 lat (*Manifest komunistyczny* jest z 1848 roku) opanowała i została martwo stosowana w tak wielkiej części świata, służąc za parawan imperializmowi, który zawładnął obszarami od Pacyfiku po Łabę. Historyczne UWARUNKOWANIA i właściwości, tradycje narodowo-rasowe (sic!) są tu determinantą, która na północnoamerykańskich terenach dała całkiem inne, wręcz ODWROTNE rezultaty. Można też spekulować – od strony religijnego uwarunkowania: można spekulować nad rozwojem krajów i cywilizacji katolickiej, prawosławnej, protestanckiej, tak jak można rozważać o losach kultur chrześcijańskich, mahometańskich, dalekowschodnich, afrykańskich wreszcie. Wszystko to składa się na różnorodność mozaiki, którą człowiek złożył. Historia! – Współzycie!

Na wyrażenie rozpaczy nie ma słów.

18 marca

Już drugi raz oświadczono mi w biurze paszportowym, po przeszło dwugodzinnym czekaniu w ogonku, że NIE MA DECY-

ZJI co do mojego paszportu. Jest to tym dziwniejsze, że wszyscy jadący na Inter University Centre do Dubrownika dostali te paszporty. Bałagan, czy chodzi „IM” o coś – ze mną? Kisielewski, Chojewski⁵² otrzymali paszporty do Sztokholmu, przecie przy nich jestem niewinnym jagnięciem! Nieznośne to – telegrafują na wszystkie strony, Lichtensztajny⁵³ mi telegrafują, że mnie w Vaduz oczekują z radością. Niezależnie od oporów – jak patrzeć cudzoziemcom w oczy, jak im coś mówić, odpowiadać na pytania o Polskę. Nieemożliwość zaplanowania najbliższych miesięcy i dni jest dolegliwa.

Za parę dni odbędą się na terenie Polski manewry paktu warszawskiego, ZSRR, NRD, CSSR i polskich jednostek. Głosy po świecie są tym zestraszane. U nas mało kto się boi, panuje raczej stan rezygnacji. Byłem znowu w Kurii, zapewne zobaczę się z Kardynałem-Prymasem przed wyjazdem. Chcę się dowiedzieć, jaki jest stan rzeczy z Caritasem i z pomocami z zagranicy, które poprzez Kościół powinny tu napływać, co – oczywiście – irytuje partię. (Czy mam ten zeszyt wziąć z sobą, gdybym jechał za granicę – czy zostawić ten i brać inny, nowy?).

Warszawa, 19 marca

Rewolucja? Kontrewolucja? Bezradność? Niedołęstwo? Karol Hubert Rostworowski był mądrzejszy od wszystkich wtedy nawet, gdy walczył z Żeromskim. Odczytuję zawsze jego *Czerwony Marsz*, *Miłosierdzie*, *Salon w stolicy ze Zmartwychwstania*, *Kaligulę wreszcie...* Jego syn Marek mi powiedział: „Polacy zwymiotowali ten ustrój”. Tak, ale co dalej?

Koryfeusz po ścięciu Robespierre’a:

A teraz kto?... A teraz co?...

A teraz gdzie i jak?...

Pojeni krwią – karmieni krwią –

A wszystko wciąż na wspak.

Po czym następuje przekład pamfletu z 1795 roku:

Wykwintniś: Kochany przyjacielu, krzycz: niech żyje wolność!
Koryfeusz: Ach, korzystać z niej, panie, już nie mam odwagi.
Wykwintniś: Jak to? – Co ty powiadasz? Krzycz: niech żyje wolność!
Koryfeusz: Niestety jestem, panie, bez pracy i nagi.
Wykwintniś: Tak. Ale, przyjacielu, krzycz: niech żyje wolność!
itd.⁵⁴.

Rostworowski więcej wiedział o świecie niż Żeromski czy skamandryci – wiedział tyle, co i Piłsudski – chociaż był endecko-przeciwny Piłsudskiemu. Ale przemyślał i francuską, i rosyjską rewolucję. A teraz, jaka to jest tu rewolucja? Lokalna, czy szerszy proces wewnątrz systemu, który od z górą 60 lat... Nie wiem z jaką twarzą mam jechać na Zachód, jeżeli mi dadzą ten już trzeci raz niewydany mi paszport.

Kościół, KOR z Kuroniem, Wałęsa z wierchuszką „Solidarności”, próbują gasić pożary wzniecane przez masy robotnicze i chłopskie – beczka prochu. Tymczasem nie ma już nic. Jeszcze można dostać chleb, jaja, poza tym puste półki w sklepach. I ciągle jeszcze cicha ulica, cierpliwe ogony ludzi po paręset metrów. Wszyscy wiedzą, że odbywają się tu manewry wojsk rosyjskich, czeskich, NRD i polskich. Że Rosja zawsze jest naszym sąsiadem. Że...

Rozpoczęto montaż, odnowę krużganków zamku w Brzegu i ogrodów tam. Słuchać tego w radiu nie mogę. Chłopi nie mogą dostać grabi, motyk, łopat. Jakaś bezbrzeżna nieudolność, gospodarcza indolence [indolencja] w tym kraju, który z przerwą kilkunastu lat musiał słuchać instrukcji rosyjskich od czasów Stackelberga, Repnina, Sieversa. Jest tu teraz głównodowodzący sił paktu warszawskiego, generał (czy marszałek?) Kulikow. To on tymi manewrami dowodzi. Rosja nie ma ochoty „brać” na swoje konto zbuntowanego kraju, w którym nic dostać nie można, z którego nic wycisnąć nie można. Muszą pomagać Kubie, walczyć i pacyfikować Afganistan, pilnować granicy chińskiej. Niech Polacy firmują jak najdłużej to, co się tu dzieje. Śladu gospodarczej poprawy, nadziei nawet nie widzę. Przeciwnie. Z każdym miesiącem jest gorzej, bardziej bezradnie. A zebrania, narady, dyskusje, strajki lub groźby strajków się mno-

żą. Ogień, ogniska, to tu, to tam się pojawiają – z kubłem wody jeżdżą Wałęsa, KOR-owcy, biskupi, członkowie partii i rządu – pojawiają się i prowokatorzy czy zwolennicy „silnej ręki”. Wygląda to jak śmietnik, śmietnisko. Pełne rozżarzonych węgli, po którym kupa dzieci biegnie to tu, to tam – coś gasi, zasypuje, wyciąga resztki połamanych narzędzi, żywności, wyciąga ręce po jeszcze kilka miliardów pożyczki, gdy na pocztach, na cle i w portach tony nadesłanej żywności gromadzą się, dziesiątki tysięcy niedoręczonych paczek, gnijących cytryn czy pomarańczy, w kontenerach, których rozładować nie potrafią.

„Tak. Ale, przyjacielu, krzycz: niech żyje wolność”.

Jaką dyscyplinę ma SOBIE narzucić człowiek, jaki kołnierz, rygory, żeby funkcjonowała zbiorowość: państwowa czy rodzinna, społeczna czy zbiorowość jednostek (indywidualnych!), materialna i duchowa działalność, zwykły porządek wreszcie, prawny, ustawowy, represyjny; sprawiedliwość i wolność; wszystko to znane od czterech czy sześciu tysięcy lat problemy. Leżą tu nagle „w proszku”, w kraju, który dawał czasami dowody, że „potrafi się rządzić”. Ale – te DOWODY jakże są rozmaite i różne w rozmaitych i różnych krajach, na kilku kontynentach! Demokracje zachodnie, katolickie i protestanckie kraje, prawosławne, mahometańskie, buddyjskie itd. – wzory nie do przeszczepienia: przykład japoński można by długo badać, żeby coś z tego wynioskować. W Chinach się „TO” nie przyjmuje, chociaż w Hongkongu i na Formozie mogliby się Chińczycy z Szanghaju i Pekinu dużo nauczyć, a my na Węgrzech czy w Jugosławii, gdzie przecie jest masło i cukier i nie ma miliardów zadłużenia. Ale przeszczepy się nie przyjmują, nie udają. Tylko czasami jakaś gruszka na wierzbie urośnie.

Warszawa, 20 marca

Dzisiaj Andrzej⁵⁵, pracujący w „Desie”, przyniósł pół kostki masła. Pytam, skąd ją dostał? „Nasza stara klientka pytała mnie

wczoraj, dlaczego jestem taki blady. Powiedziałem jej, żartem, skąd mam dobrze wyglądać, gdy nie ma masła, mięsa, niczego. Dzisiaj przyszła – mówiła, że ma wnuka w moim wieku, że całymi dniami stoi w ogonkach dla córki, tego wnuka i dla siebie: dostałam dwie kostki masła, odkroiłam pół dla pana, pan jest zawsze taki miły i dobry”. Andrzejek ją wyściskał. Mamy teraz na trzech te pół kostki.

W Bydgoszczy milicja ciężko pobiła uczestników wiecu „Solidarności” – jedzie tam Wałęsa. Wzburzenie, napięcie, wciąż rosną. Nie słyszę o otwieraniu warsztatów, o produkcji, już nie ciągników, ale łopat, motyk, grabi, cegieł, o rozładowywaniu nadchodzących tysięcy paczek, które leżą na cle czy w porcie gdyńskim. Nic, tylko gadanie, zebrania, sesje, wybory, zjazdy, strajki; okropność tych rządów, partii, mafii, nomenklatury, urzędu bezpieczeństwa, aż po Ocean Spokojny obejmujących blisko pół świata, jeżeli wliczymy w to obłęd chiński.

Więc po trzydziestu sześciu latach pokoju i przy trzydziestu miliardach dolarów zaciągniętych pożyczek, stara emerytka przynosi – sekretnie, żeby inni nie widzieli – pół kostki masła? W kraju rolniczym projektuje się kartki na chleb? W Rosji, po kilku latach rządów bolszewickich, jedzono mięso ludzkie w pierogach, na czarnoziemnych obszarach Ukrainy, gdzie wystarczy rzucić ziarno, żeby wydało „stokrotny plon”. Czy są narody i rasy, które potrafią gospodarować, i takie, które nie potrafią? Chyba tak. Myśmy się znaleźli pod najgorszymi rządami i wpływami z możliwych w całej Europie. Co na to poradzić można?

Dzisiaj: oświadczenie Prezydium KPP NSZZ „Solidarność”:

Prezydium KPP NSZZ „Solidarność” z powodu ataku na związki, jego władze i obrazę godności związku, odwołuje wszelkie rozmowy z władzami i ogłasza dla wszystkich instancji związkowych, wszystkich członków „Solidarności” stan gotowości strajkowej.

Zwracamy się do członków związku, by w atmosferze powagi i najwyższej odpowiedzialności, do dnia 23 marca przygotowali swoje organizacje do spełnienia zadań, jakie stwarza sytuacja.

AKCJA, jaka miała miejsce 19 marca 1981 w Bydgoszczy, jest oczywistą PROWOKACJĄ WYMIERZONĄ W RZĄD premiera Jaruzelskiego. Przerwanie spokoju społecznego obciążą czynniki, które spowodowały akcję bydgoską odpowiedzialnością za los kraju.

Bydgoszcz 20.03.1981 Lech Wałęsa, Ryszard Kwiatkowski, Marian Jurczyk, Zbigniew Bujak, Andrzej Celiński.

W jakim stopniu treść zakreślonego przeze mnie zdania dotrze „do mas” i je... uspokoi??

NOC

Czuję taki niepokój, w sercu? w głowie? – Nerwy? – Spać, coś pić, proszki nasenne brać? Nic nie pomaga, żeby zasnąć. Próbuję czytać. Ani rusz. Jeszcze najłatwiej łykam monografię o Konstantynie Wielkim⁵⁶ – te czasy, gdy Kościół dobijał się do panowania nad światem, a rzymskie imperium dzieliło się na wschodnią i zachodnią część. Robiłem też moje pochody szeregów ośmiostopniowych⁵⁷, żeby uporządkować te tablice, które kiedyś w „Res Facta”⁵⁸ opublikuję. Ale – co mnie to obchodzi. Chciałbym skończyć *Fantazję*. Ale gdzie? Kiedy?

Wyjeżdżać stąd teraz? Do pani Porter w Kalifornii??!!

Na wszystkich, nawet chłopców i dziewczyny, patrzę jak na śmiertelnym znakiem i znakiem cierpień pieczętowanych. Widzę jakby aurę tego wokoło najpiękniejszej ich młodości – a starych widzę już martwością dotkniętych. Bronię się, żeby tego nie widzieć, a widzę ciągle, jakby wszystko, co żyje, już po kruchej powierzchni życia chodziło. Pozostaje mi „Boże, zabierz mnie rychło z tej ziemi, na której jest jeszcze tyle piękności”. Jak krzesać wątki życia w takim stanie?!

Konstantyn, Laktancjusz⁵⁹, [słowo nieczytelne], chrześcijanie z ich tchórzliwymi czy bohaterskimi biskupami, wierni starym pokusom, piętnaście wieków temu, ich walki, dekrety, imperium, wstrząsane podziałami tego imperium, obejmującego cały ówczesny świat – co to wszystko znaczy dzisiaj, gdy kontynenty na-

szej ziemi objęte są konwulsjami, które i wtedy zapowiadały koniec takiego świata, jaki był wtedy.

Warszawa, 22 marca

Zdawać sprawę, opowiadać o wieczorze u Janki Schiele⁶⁰, gdzie patrzyliśmy na relacje u wojewody Bąka z Bydgoszczy, a potem na rozmowę z prokuratorem ŻYTO: poziom podłego i tchórzliwego unikania – jak to nazwać? Ludzie, którzy nie są w stanie pojąć, że ktoś inaczej myśli, działa, reaguje – gestapowcy też znali argument pałki, bicia, więzień, posłuchu osiągniętego tymi metodami. Znamy to od paru tysięcy lat, jeżeli nie od początku świata. Ale pokazywać to w telewizji!? Grzebiąc słowami fakty?

Idzie tu nieuchronnie do jakiejś bezprzykładnej katastrofy, której kształtu nie mogę przewidzieć.

23 marca

Dzisiaj, po raz już czwarty, oświadczono mi w biurze paszportowym, że nie ma decyzji co do wydania mi mego paszportu. Byłem i u jakiejś pani kierownik, która mi powiedziała, żeby przyjść pojutrze. Za każdym razem czekanie w ogonie po godzinie lub dwie i więcej godzin. Wszyscy, którzy polecili do Dubrownika z wykładami dostali paszporty – nie wiem dlaczego jestem od nich gorszy – czy lepszy – zależnie z której strony na to patrzeć.

Na mieście fotografie pobitych w Bydgoszczy członków „Solidarności”.

Rozumiem Witkacego, który w 1939 roku popełnił samobójstwo. (Ale moja „formacja” jest tak inna!) – Jak wytrzymać to, co się na nas wali? – Można tego nie wytrzymać. Po prostu... Patkowski (prezes Związku Kompozytorów) wpadł do mnie – że się zajmuje moim paszportem – minister kultury i sztuki Tejhma ponoć też – Mój paszport! – Mój Boże! – Gdyby mi go dali – jak jechać?! Żeby co? Po co? Tea⁶¹ przyjechała z Londynu – przywiozła mi od Mini⁶² pół kg masła. Może jechać do Paryża, żeby tu

przywieźć trochę masła – czy trochę dolarów – za które notabene – już też nic kupić nie można. (Czy możliwe zrobić z kraju rolniczego w centrum Europy Białą – obciążoną 25 miliardami dolarów dług?). Śmiano się ze mnie, gdy „prognozowałem” obóz koncentracyjny, jego możliwość od Bałtyku po Tatry. (W Himmelmoor mieliśmy manierkę wody-zupy i 2 kartofle dziennie).

Warszawa, 24 marca

Wieczorem wpadł A. 22 lata, studencik. Milczący, smutny: „co z nami będzie, co będzie ze mną?” – pogłaskałem go po głowie: „uśmiechnij się, jesteś taki młody”. „Śmiać mi się nie chce”. Prawie płakał. Mówiłem mu, że było nas czterech i przeżyliśmy wszyscy dwie wojny i okupację... Że życie długie czy krótkie ma taką samą wartość. Czułem, że to bez sensu – ale chciałem mu coś powiedzieć... Ma przyjść za tydzień. „Za tydzień?” – mówi – „Co będzie za tydzień?”.

Na klatce schodowej było ciemno – często światło wysiada na mojej klatce. Zostawiłem drzwi otwarte, żeby coś widział. „Widzę, dobrze widzę” wołał z dołu, prawie szlochając.

22 lata, dobry, inteligentny, sądzić mam prawo, że uczciwy. Nie pytam się – siebie – jak mam przeżyć ten czas. Myślę o nich – jak wtedy, na pływalni Legii w 1939 roku, gdy skakali z wysokiej trampoliny.

Byłem dzisiaj w Kurii. Mam widzieć prymasa w przyszłym tygodniu – w razie wyjazdu chcę z nim przedtem omówić... Czy ten stary kardynał wzruszy mnie tak, jak ten studencik? Nie on jeden mnie wzrusza.

Podobno Stefan Kisielewski wystąpił też o paszport do Paryża (że mu się chce!). Wysłałem parę słów do Józia Cz[apskiego].

Napięcie ciągle i ciągle rośnie. Czy możliwe jest ROZŁADOWANIE, z Jaruzelskim na czele, który miał dziś (słyszałem w radiu) okropne, puste i bezsilne przemówienie do chłopów. Sprawa związku (niezależnego!) chłopów jest teraz w centrum „próby sił”: Rosja-Polska, zapewne i rząd Jaruzelskiego i „twardogłowi” (Olszowski?) – ten rząd, o którym wszyscy mówią, że jest NASZĄ OSTAT-

NIĄ KARTĄ. – Ostatnią?? Autorytet wielkiego formatu! Nie ma go. Im dalej, tym bardziej podziwiam Piłsudskiego w 1918 i 1920 roku.

Ze Stasiem wymieniamy wiadomości – poza tym prawie milczymy. Jeszcze coś wymyślamy na obiad – jaja, puszki, których sporo z zagranicy, Andrzej czasami mięso przynosi. Żartujemy, że „jest wszystko”... Nie chcemy, nikt nie chce dramatu, tragedii. Widok ulicy, gdzie ogonki od jednego sklepu, w którym jest sok pomidorowy, do drugiego, w którym „dają” nie wiem co, łączą się nieraz – obraz takiej ulicy jest jak „znieruchomiałe ludzki tro-tuar”. Myślę wtedy o obrazie Piotrogradu, Leningradu potem, o słyszanych od dziecka wieściach – potem mieszają się te obrazy z widokami wojny, kolumną jeńców, w której siedłem zakurzony, spragniony; w wyschniętym gardle czułem jakby proch, z którego w obłoku myśli wynurzała się bezwładna apatia.

Czy może być cud, ten cud, który zawsze był, tam, gdzie przetrwał człowiek, naród, jakiś kształt, który nazywamy cywilizacją? Może boleść jest konieczna – ci robotnicy nieustępliwi, dynamit, życie i tępa pałka z czołgami, ludzie, którzy swoją rację wbijają, zalepiając gęby cementem, wiążąc ręce drutem kolczastym. „Halt Maul, du frecher Pole”⁶³ słyszałem.

A ciągle ktoś wierzy w Jutrzenkę, Świt i Zmartwychwstanie. Ileż to kosztuje, jaka jest suma cierpień, które wsiąkły bez śladu w historię ludzką – zwierzęcą, zwierzęcą też – aż po ginące i po-żerające się robactwo – (nazywamy to równowagą ekologiczną).

Jaka jest równowaga ekologiczna człowieka? Jaka ona jest teraz, już naruszona? Czy istnieje sposób przywrócenia czegoś, co zginęło, w konwulsjach, w piekle na ziemi, z którego tylko czasami i tylko niektórzy potrafili tworzyć kształt „możliwych do przy-jęcia kultur”? Same pytania, które teraz i tu narzucają się każdemu – już zmyły „zwyczajne życie”.

Pcha nas, poprzez prowokacje, Olszowski, Grabski, Żabiński, Kociołek⁶⁴? Nie wiem, nie wiemy.

Koloniści, kolonialisci, kolonie; niesprawiedliwości, wyzysk, niewolnictwo i tak dalej. Prawda, jak prawdą było imperium rzymskie – z bardzo różnie traktowanymi prowincjami, od Eufratu

po Atlantyk i od Brytanii i Dunaju po Saharę. Anglia, Portugalia, Francja, Belgia, Holandia, Hiszpania i, przez kilkadziesiąt lat, Niemcy też, bardzo różnie traktowały swoje kolonie. Ale to w styku z tą Europą kształcili się nie tylko Gandhi i Nehru, ale i cała „inteligencja” afrykańska w szkołach angielskich. Francja budowała koleje nie tylko w carskiej Rosji i tramwaje w Szanghaju, Hanoi (od ich wyjścia stamtąd prawie nic dotąd nie dodano...), ale i Algier, Oran, Casablanca, działalność marszałka Lyautey⁶⁵ nie była tylko „imperialistyczna”. Drogi w Afryce – widziałem je w Republice Południowej Afryki... Upadek Europy, od 1914 roku, zaczął się wtedy, gdy ona zdobywała świat. Ciekawa historia!

A historia dzisiejszych, miliardowych Chin?

Warszawa, 28 marca

Tymczasem tutaj: godzina 12: mają być wznowione rozmowy rządu i partii z „Solidarnością”. Chodzi o ogłoszenie (ustalenie tekstu przedtem) raportu o WYPADKACH bydgoskich. Jutro plenum Komitetu Centralnego. We wtorek strajk generalny – zależnie od porozumienia lub nie. Czy nasz los od tego zależy? Konfrontacja – czy jeszcze ugoda, zalepianie niezależnych związków i kierowniczej roli partii – podpisanej w sierpniu?? – Czekamy.

Wczoraj w Kurii sekretarz kardynała Wyszyńskiego prałat Kotowski podał mi raczej mętne informacje o akcji Kościoła. Chodzi o odżywienie Polski. Pieniądze zbiera „Cor unum”, Caritasy zagraniczne (w Rzymie) – biskupi w Polsce żywność, lekarstwa. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaprosiło 12 ambasadorów zachodnich (USA, Francja, NRF itd.), żeby apelować o szybką pomoc żywnościową, bo grozi Polsce głód. Więc żebranina, jak w głodującej Białej. Podobnie i Jagielski leci żebrac o pożyczkę do USA. Jeszcze powiększać długi. Zapewne coś dostanie. Tak się boją, żeby tu katastrofy nie było.

Rada obronna NATO poświęcona jest sytuacji w Polsce. W Waszyngtonie oświadczenia Haiga⁶⁶ i Weinbergera⁶⁷, w obecności prezydenta Reagana, o poważnym zagrożeniu POKOJU ŚWIATOWEGO w razie interwencji rosyjskiej tutaj. Przypomina

to konwulsyjne a bezradne oświadczenia i „bieganiny” w 1939 roku – choć na innym historycznym zakręcie. Coraz gorszym, jeżeli porównamy 1914, 1939 rok i teraz, w obliczu katastrofy atomowej, o której papież tak wyraźnie mówi. Chodzi o pożar świata – a nie o jakąś, nawet i światową, wojnę.

Można to widzieć i od strony dojrzałości naszej wielomilionowej masy polskiej, która spokojnie, wytrwale i stanowczo czeka, nie tłucze szyb, nie wychodzi na ulicę, ale i nie ustępuje wobec całego ogromu i sił ZSRR.

Usiłuję nie trząść się – zmiennie [?] – z godziny na godzinę. Décidément [najwyraźniej], nie stworzył mnie Pan Bóg na przywódcę, trybuna, nawet mediatora, pertraktującego przez 12 i 20 godzin z przeciwnikami, partnerami... Nie ustępować i nie atakować głupio. Talenty Wałęsy czy starego już kardynała prymasa są coraz bardziej godne podziwu. Między rosyjskim młotem a polskim partyjnym kowadłem, rząd Kani i Jaruzelskiego wygląda na ostatnią tu szansę. A Wałęsa jest w sytuacji podobnej, z rzeszą robotników i chłopów na plecach, którzy mu zarzucić mogą w każdej chwili ugodowość, a partnerami WŁADZY naprzeciw i doradcami z Kościoła, KOR-u, obok. Rakowski, wicepremier, partyjny, ale nienależący do „sitwy”, którą nazywamy teraz NOMENKLATURA, też próbuje wysmażyć kompromis. A wszystko w kraterze, pod ciśnieniem wulkanu, który jeszcze nie eksplodował.

Już nawet zapalek nie mogę dostać. Mamy jednak jeszcze coś do jedzenia dzisiaj i jutro, w niedzielę. Staś mnoży kawałek mięsa, polecał po tartą bułkę do matki Andrzeja, może dostanie cebulę. Tea przywiozła nam z Londynu półkilogramową puszkę masła. Mam z targu na Polnej kilo fasoli i torbę kaszy gryczanej. Mleko nam jeszcze dostarczają, można też dostać jaja. Ten prałat Kotowski w Kurii nie zrobił mi wrażenia „orła” – przy trzecim już, wczorajszym widzeniu. Byłbym ciekaw posłyszeć np. z taśmy rozmowę prymasa z premierem (Jaruzelskim)! Mogę to sobie – ale tylko trochę – wyobrazić. Papież, proszony przez „Solidarność” o mediację, powiedział ostrożnie, że czytał ten apel z największą uwagą – i przerzucił mediację na kardynała prymasa. Jasne, że – jako pa-

pieź – nie może się w tak bezpośredni sposób angażować w te sprawy tutaj – naiwny mi się widzi taki apel „Solidarności” do głowy Kościoła Powszechnego!

Wszystko to wygląda chaotycznie, od przypadku do przypadku. Czy jedna Rosja tylko widzi „politykę globalną” w sposób konsekwentny, od czasów... Piotra Wielkiego? Czy też i ona działa jakby automatycznie – i jej polityka jest tylko wynikiem jej masy, ogromu i historycznego uwarunkowania – z ludnością, która poddaje się każdej władzy autokratycznej? „Rosja dąży do panowania nad światem”, jak to ujął Kisielewski. A tu Polacy, Polaczki, jak zawsze, od czasów Kościuszki, wpychają kij w te ogromne szprychy polityki i działań rosyjskich, przed którymi cały świat drży.

Paszportu dalej jak nie ma, tak nie ma. Wieczorem ma dzwonić Marcelle⁶⁸. Jak jej to wszystko wytłumaczyć?

Chodzę coraz gorzej, lewa ręka dolega, trzymanie już całkiem wyschniętych kasztanów z Nieborowa niewątpliwie pomaga do-
rażnie.

Mam jeszcze 32 dolary – poza frankami (1500 szwajcarskich) na koncie „A”⁶⁹, które wziąłbym, gdy paszport dostanę. Chciałem kupić w PEWEXIE⁷⁰ sardynki, jedyną rzecz „do jedzenia”, jaka tam była. Ale dawno już sardynki wykupiono, czekoladę też.

O pisaniu *Fantazji* nie potrafię myśleć. To znaczy myślę w nocy, gdy nie mam sił, by wstać i brać się ZA TO. – Dziwna starość. Za niecałe pięć miesięcy będę miał dokładnie tyle lat co moja matka, gdy umarła w 1951 roku.

Idzie wiosna, zawsze wzruszająca. Słońce, na które reagują rośliny, zwierzęta i ludzie.

Od paru tysięcy lat mnożą się świadectwa. Ale od dwóch wieków, gdzieś od XVIII wieku, mnożą się one w tak zawrotnie przy-

spieszonym tempie, że i w świadectwa nie wierzę. Za dużo ich jest.

Czy mam jakąś całkiem specjalną „fajkę” w urzędach paszportowych czy bezpieczeństwa, że takie mam trudności z paszportem? Mój *List z Polski* wysłany był w listopadzie do Józia Cz[apskiego]. Nigdy nie doszedł. Więc te jakieś urzędy, w cenzurze czy bezpieczeństwie, miały ten tekst dużo wcześniej niż jego publikacja, o której słyszę, że miała miejsce w marcowym numerze paryskiej „Kultury”. Czy ten list, przede wszystkim o Rosji, wydał się czymś tak groźnym, niedopuszczalnym? Wydaje się, że nikt specjalnie tego tekstu nie zauważył – wolą dzisiaj (czytelnicy!) teksty ogólne, teoretyczne, przelewające się bez końca – na tematy „o naprawie Rzeczypospolitej” – mój mały tekst był całkiem inny, bardziej konkretny, przykładowy, gawędziarsko osobisty. Może stał się przyczyną, że uznano mnie raz jeszcze za „groźny (!) element”?

w nocy

Pokazali dzisiaj w TV Zdzisława Koziola, starszego już członka PZPR, który się oblał benzyną i podpalił – żeby protestować, błagać o spokój i pracę. Został uratowany. Wierzył w partię: straszna, spalona twarz – ale odpowiadał przytomnie spikerowi TV – błaga Wałęsę, „Solidarność” o umiarkowanie – powiedział też, że zawiódł się na partii. Oto jeszcze jeden obraz z tego kraju. Tragicznego. Czy tylko tragiczny kraj sięga do jakichś pokładów prawdy?

Widzę tę czarną głowę i jego (partyjną!) duszę, z której płyną proste słowa – nie żałuje swojego czynu. Bohater? Wariat? Obląkany? – Wszystko razem. Nie spekuluję, w jakim stopniu TV to wyzyskała dla propagandy.

Podobno w Wolnej Europie odczytano mój *List z Polski*, opublikowany w paryskiej „Kulturze”, ale tego nie słyszałem. UB [Urząd Bezpieczeństwa] ma to od listopada.

W telefonie, do Henisia Rostw[orowskiego⁷¹] (z Belgii) wiadomość, że zamknięta granica z Belgii do Polski?! Zaczyna się?! Może to nieprawda?

Pan Bóg pomaga nie dlatego, że jest, ale dlatego, że ludzie w niego wierzą.

Może to wychodzi na TO SAMO?

Jeżeli w coś wierzę, to to jest? (istnieje?)

Nie mogę sprawdzić przedmiotu tego, co jest moją rzeczywistością. Nie mogę sprawdzić bytu – ani własnego, ani cudzego, ani boskiego.

Nie mogę sprawdzić niczego. Mogę wierzyć, nie wierzyć. Istnieć, nie istnieć. Mogę się modlić i mogę się zachwycać. Mogę czuć, odczuwać, albo być ślepy i głuchy, nawet na uderzenia własnego serca. Być albo nie być. Powiedziano to już dawno temu. Co mogę powiedzieć większego niż „wspomóż mnie, Boże” – jak psalmista, wołający do Pana tyle wieków temu. Czuje to i Miłosz, gdy wziął się za tłumaczenie tych tekstów.

Człowiek czuje dramat i tragedię albo jest płaski – nie czuje. Nie, że nie czuje nic, ale nie widzi rzeczywistości, jej widmowego oblicza.

Gdy się znalazłem w kolumnie jeńców, zaraz po bitwie pod Dieuze⁷², były nas tysiące. Młody żołnierz (prawdziwy bohater!) – miałem go koło siebie na pozycji – skarżył się i żałował, że Niemcy mu zabrali aparat fotograficzny.

Nie mogę zapomnieć tego wspaniałego chłopca, który w takiej chwili nie miał większych zmartwień...

Jakie mnóstwo jest takich ludzi!

Obawiam się, że nadszedł czas, nawet chwila, kiedy będziemy musieli wszyscy być bohaterami. Czy ktoś chce, czy nie.

Idę zrobić sobie resztę płatków owsianych, mamy jeszcze mleko. I trochę konserw od Marcelle.

A przecie Staś, który wrócił późno z TV i radia u Andrzeja, przyszedł raczej optymistyczny i łagodny, że idzie ku porozumieniu, że to wszystko dziś wróży ugodę. Słowem, że mamy szansę zwycięstwa. Niechby... Może jestem zbyt stary i wątpiący, że możliwe jest światło. Może wszystko od wiary zależy. Bo on, racjonalista, ma jej więcej niż ja, niby to irracjonalista.

Zanikające przywiązanie do życia, widzenie jego ciemnych, czarnych stron: wszystkie cechy, które w starości podważają istnienie, jedyną rzecz, jaką „trzymamy w rękach”. Istnienie historyczne, biologiczne, które człowiek poza biologię wynosi, a z wnętrza historii wróży, jak z wnętrzości zwierząt ofiarnych.

Warszawa, 5 kwietnia

W piątek dali mi paszport – po czekaniu i pięciokrotnych informacjach, że „nie ma decyzji”. Jutro idę więc po wizy – potrzebuję ich aż cztery, wyjmę moją resztę franków z konta „A”, kupię bilet lotniczy do Zurychu i zadzwonię, czy moi książęta są w Vaduz. A obronność natury jest taka, że już jestem jedną nogą tam, a jedną tutaj. I już myślę, co im tam powiem, choć wiem, że to nie ma

najmniejszego znaczenia, choć nigdy przewidzieć nie mogę, kto tam będzie, choć wiem, że – ktokolwiek by tam był – to na sprawy tego świata wpływ najmożliwszej nawet jednostki jest niewielki: jakiś senator amerykański, finansista niemiecki, Filip Edynburski. Słowne pogróżki, strachy – wygląda to, jakbyśmy przyplływ morza chcieli zatrzymać. Nie piszę tego z „fatalistycznego punktu widzenia”. Procesy historyczne to nie jest fatalizm. Usiłuję zdać sobie sprawę z istotnego znaczenia tego, co się tu od sierpnia 1980 stało i dzieje: w jakim stopniu to jest lokalne, w jakim stopniu światowe, jako proces w łonie i zasięgu komunistycznego świata i ustroju. Co można zrobić z takim FANTEM, jakim jest teraz zbankrutowana Polska? W jakim stopniu ideał rosyjski „żeby to wziąć za mordę” jest możliwy i w jaki sposób wykonalny? Teraz, przez wywiezienie czy likwidację x tysięcy też. Skala takich przedsięwzięć była już przekraczana w XX wieku. A przecież stoimy przed pytaniem KORYFEUSZA z *Czerwonego marszu* K.H. Rostworowskiego, „A teraz kto?... A teraz co?...”[...]

Formy gilotynowania wolności – ona ma twardą szyję – są różne. Najradykałniej zrealizowano to w Rosji. Ale na całych połaciach ziemi żyją ludy i rasy, które tego pojęcia nie znają. Śledzenie ewolucji i form tego pojęcia gdzieś od greckich czasów jest splecione z kłamstwami. Już historia wspaniałych mów Demostenesa wprowadziła zamieszanie do moich naiwnie prostych ongiś pojęć, gdy wolność uważałem za coś prostego i nieskomplikowanego. Późno spostrzegłem się, ile złudy kryje zdanie: *vivre et laisser vivre* [żyć i pozwolić żyć innym]. Chińczycy i szczepy afrykańskie też: wychowywały po swojemu człowieka.

Była w Wiśniowej duża fotografia z Antonin⁷³, gdzie gromada chłopów w strojach ludowych, zgiętych w pokłonie, składa życzenia imieninowe pani Helenie, Józefowej Potockiej (Radziwiłównie z domu, siostrze pani Betki Potockiej z Łańcuta). W białej sukni, ogromnym kapeluszu i z parasolką w ręce przyjmowała te życzenia, gdzieś około 1910 roku. Ta fotografia była jakąś *sui generis* swoistą repliką *Batorego pod Pskowem* Matejki! W tle tłum gości – suknie, żakiety, Wielki Książę Borys w mundurze i ci

wspaniali chłopci brodac, wąsaci, którzy potem różnili dworskich w imię zasady:

Dobre to panisko było
przerznijmy go na wpół piłą.

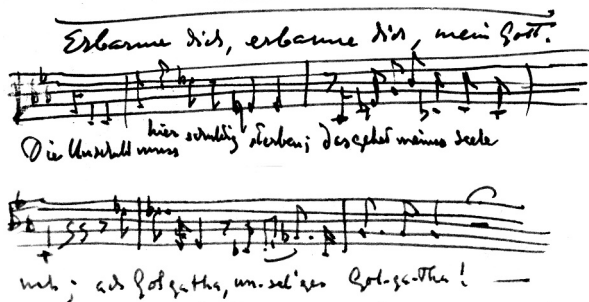
Tę samą panią Helenę Potocką widziałem 40 lat potem, jak na rynku w Krakowie niosła do pani Franciszkowej Potockiej, gdzie kątem mieszkała (zanim nie pojechała umrzeć w Montrésorze⁷⁴), torbę kartofli. Trzymała ją zgrabiałymi i czerwonymi od zimna palcami.

Co mogę uchronić od zapomnienia?

Warszawa, 6 kwietnia

Na zjazd partii w Pradze pojechał, zamiast Kani, Olszowski? Jest tam Breżniew. Oczywiście i Husak. Co oni zdecydują, postanowią? Oto nasza polska wiosna nadeszła? Wywiad z Wałęsą – jak się jego ton zmienił od czasu, gdy w Gdańsku głosił, że się Polak z Polakiem zawsze dogadają! Ale teraz trzeba rozmawiać z Moskałem. Nie Wałęsa, nie Kania, ale Olszowski. A Jaruzelski zachorował. Zachorował?

Erbarne dich, erbarne dich mein Gott⁷⁵.



11 kwietnia, samolot Warszawa–Zurych

Staś, Andrzej, Etusia i Andrzej Stojowscy⁷⁶, Zosia⁷⁷ (córka Franków) ze swoim Pawełkiem odprowadzili mnie. Zostawiam ich wszystkich, lecąc „jakby nigdy nic”.

Vaduz, 13 kwietnia, 8.30

Piszę stąd – opisując – do Etusi. Chciałbym drugi list z Polski napisać dla „Kultury”, ale czy potrafię to pisać tutaj?

Vaduz, 16 kwietnia
na wyjeźdnym do Paryża:

Wydaje się, że nasz świat, pełen nieszczęść, dramatu, tragedii, ma jakąś wyższą ludzką miarę – może godność – niż syty świat zachodni.

Wczoraj wieczorem, we trójkę tylko z Liechtensteinami, pijąc ostatnią „Wikiamine”⁷⁸, zwróciłem się do nich, że to może ostatni raz tu jestem. Ale nie ma sposobu dotrzeć do właściwej perspektywy takich rzeczywistości. Jest to nie na miejscu, tak jak nie na miejscu by było wpisać im do książki gościnnej „Erbarme dich, erbarme dich, mein Gott”, czy „die Unschuld muss hier schuldig sterben: das gehet meines Seele nah; ach Golgatha, unsel’ges Golgatha!”⁷⁹ z *Mateuszowej Pasji* Bacha. U nas okrzyk – powiedzmy – mickiewiczowski, zawsze brzmi jak codzienna jakaś aktualność. Inne mamy oczy, uszy, duszę. Zawsze tak było (od dwustu lat).

Szofer mnie odwozi do Sargans. Zarobiłem tu bilet do Paryża, lekarstwa w aptecce i pantofle, Gina kazała to wszystko wpisać na rachunek zamku. Trochę myślałem, że Franz Josef mi da kopertę ze szwajcarskimi frankami, ale nie. Jestem tu traktowany z jakąś niezwykłą przyjaźnią, życzliwością, a nawet atencją – nie wsuwa się takim gościom pieniędzy do kieszeni.

W „Neue Zürcher Zeitung” znowu na pierwszej stronie: „Ruf nach Demokratie in Polen. Ein Programm des «Solidarität». Keine Wirtschaftsreform ohne Machtkontrolle”⁸⁰.

Prześladuje mnie myśl, że my się nie umiemy rządzić. Można to rozmaicie rozwijać, widzieć, porównując do krajów w różnych częściach świata, a przecie organizacyjna niezdarność przy jakiejś indolence (slave?) [słowiańskiej indolencji] i przy okropnym wpływie rosyjskim – od iluż lat? – nie tylko trzydziestu sześciu, ale od dwustu lat w „Królestwie”, rzuca się w oczy.

Paryż, 20 kwietnia, Poniedziałek Wielkanocny

Nikt nie może brać udziału w tym, co jest gdzie indziej. To jest tak samo, jak z moim nieszczęściem czy moją chorobą. Wczoraj w Maisons Laffitte. Oczywiście Józio Czapski wie wszystko, ale Józio ma chorą i umierającą swoją Marynię⁸¹ i obrazy, które maluje – rzeczywiście – coraz lepsze. Piękne to, gdy się ma 86 rok! Giedroyc myśli, jaką linię nadać „Kulturze”. Może nadszedł czas, gdy należy partię – odnowioną, zmienioną, w jakiś sposób popierać: model polskiego komunizmu, który się rysuje i może z lipcowym zjazdem partii zrealizuje? Widziałem ostatnie cztery numery tego pisma, od grudnia po kwiecień – całe mnóstwo artykułów, do których mam dorzucić *II List z Polski* – chcę to zrobić, ale – tyle jest wszędzie pisaniny o Polsce!!

Giedroyc – co widać z artykułów, które publikuje – jest mocno uczulony na sprawy tego, co nazywa ugodowością Kościoła, ze starym kardynałem prymasem i papieżem włącznie. Jest to dalszy ciąg jego BOJOWOŚCI, którą, w sumie, „Kultura” zawsze reprezentowała. Czy teraz jednak sojuszu i „spokojnej” linii Kościoła, popierającego chłopów, nie należy popierać? Giedroyc widzi przede wszystkim sojusz inteligencji (z KOR-em na czele!) z robotnikami – a teraz, czy KOR, Wałęsa i kardynał prymas nie usiłują uspokajać tego dynamitu, którym są masy – i robotnicze, i chłopskie? Jednak nawet Giedroyc spekuluje na rzecz jakiejś odnowionej, polskiej partii – na rzecz polskiego jakiegoś modelu komunizmu – socjalizmu.

Paryż, 25 kwietnia

Skończyłem artykuł dla „Kultury” Giedroycia – ma być w czerwcowym numerze. Tymczasem co do czerwca? Czytam artykuły Aleksandra Zinowiewa⁸² w zbiorze *Nous et l'Occident*. Poza Pawłami [rodzina bratanka] i Maisons Laffitte nie widziałem nikogo, nie szukam. Duże spacery przez Paryż. Pogłębiająca się przepaść naszego świata ze światem tu. Oni tu niczego stracić, poświęcić nie mogą, nie potrafią. Wierzą w szczęście, mają dobrobyt, odwracają oczy od wszelkiego nieszczęścia i biedy.

Paryż, 1 maja

Widzę tu w TV pochody pierwszomajowe z wrzaskami o to i owo – jak to groteskowo wygląda! Podobnie kampania prezydencka, znowu pojedynek Giscard – Mitterrand, jak siedem lat temu, gdy to w TV w Monte Carlo oglądałem. Przeszło mi przez myśl, jakby się Breżniew natrzęsał i naśmiewał, gdyby umiał po francusku i patrzył tu na tę kampanię w telewizji. – Artykuł pt. *II List z Polski* skończyłem wczoraj (o 4 rano) i posłałem Giedroyciowi do „Kultury”, powinno być w czerwcowym numerze. Pojęcia nie mam, czy to co warto, bo – w końcu – piszę tam o rzeczach, na których się nic nie znam. Czy jednak ci, co się ZNAJĄ, wiedzą więcej? Sporo ich w życiu spotykałem, widziałem. Można się znać na jakimś dziale fizyki, matematyki – ale z polityką, sztuką (nawet z ekonomią, choć to ryzykowne mówić!) kto coś wie?? Można napisać symfonię i nie znać się na muzyce? Ktoś może być „wielkim politykiem”, a wypadki jutro zaskoczą go – bo nie wie więcej o przeszłości niż – powiedzmy – ja.

5/6 maja

Tłukę się nocnym pociągami z Bayonne-Toulouse-Marseille do Monaco w bardzo dobrym sypialnym wagonie, który mi kupił Zembrzusi⁸³. Po tej zadbanej Europie, dziwnej, gdy na nią

z naszego okna na wschodzie patrzeć. Widzę jeden ogród od tysiąca lat pracownicie uprawiany. Państwo, pracodawca i właściciel ludzi, ich ciała i duszy. I zanegowaliśmy to w Polsce, ale niedbalstwo pozostało.

Monte Carlo, Hôtel de Paris, 7/8 maja, 2 w nocy

Gdzie jest próg tego, co nazywamy duchem? Świat zwierzęcy: przewodnictwo stadem, u bawołów, małą, ryb itd. – nie jestem NATURALISTĄ⁸⁴, żeby znać się na tym, ale przecie widać to gołym okiem. Jaki próg przekracza człowiek? I gdzie się ZACZYNA, a gdzie KONCZY, na czym polega budowa jego świata indywidualnego – tego domu ducha, którym jest każde życie ludzkie, ale każde życie buduje ten dom obszerniejszy, ciaśniejszy, bardziej czy mniej świadomy. Nazywamy to MOIM światem, który – czy wraz ze mną kończy się, umiera? Szczątki tych domów-światów żyją w przekazach historycznych, zniekształcane, odtwarzane, przekazywane, z wyjątkowych tylko, z miliardów wybranych wypadków, faktów, które za rzeczywistość uznajemy, podajemy i przekazujemy; historię Karola VII i Joanny d’Arc czy bardziej uchwytnie pisma i dzieła Dantego, Rembrandta, Bacha. Jaka jest jednak rzeczywistość mojego domu, który zbudowałem? Czym ona jest, skoro ona jest we mnie wcielona, a ja w niej? A pies, ostryga, drzewo?

Pamięć, przewidywanie, świadomość, wyróżniają mnie aż tak, że tworzą byt odrębny w świecie organicznym, jak wszystko, czy inaczej, jak nie wszystko, ale tylko ja? Nie sposób odróżnić tego, co zaplanowane, przekazane przez coś, co nazywamy genami (?) – co każe wędrować motylom i ptakom, węgorzom podobno też, a co każe wypuszczać liście drzewom kasztanowym, a człowiekowi daje pięciopalcowe ręce i głowę z oczami, uszami, językiem, zdolnym do mowy, ludzkiej mowy, wyrażającej pojęcia, których nie wyrażają języki krów, ptaków, krokodyli. I wreszcie, po epoce wersetów Homera i Salomona, zaczęliśmy tworzyć narzędzia i jakąś samoczynno-automatyczną maszynię, wytrącającą nam narzędzia ręczne, „pięciopalcowe”, dźwigniowe, które starczyły, żeby budować piramidy, katedry i akwedukty. Stworzyliśmy siły, których

istnieniu nikt nie mógł przeczyć, energie, które samoczynnie wzruszyć mogą ziemię, może nawet i system planetarny wytrącić z jego równowagi. – I cóż, gdy drobiny szczęścia i nieszczęścia, masy ludzi i ludów wymykają się z jakiegokolwiek rachunku, tak dobrze funkcjonującego w międzyplanetarnych i okołoziemskich przedsięwzięciach, gdy tylko poza wypadkową życia organicznego sięgniemy. Tam wszystko się sprawdza. A tu, na ziemi, nic.

Monte Carlo, noc 10/11 maja

Najpierw – ścisnęło mi serce – że Mitterrand – myślę teraz – że może ten socjalista wie więcej niż tylko członek partii? Europa jest jeszcze ważna na świecie.

Monte Carlo, 12 maja

Denis de Rougemont⁸⁵ nie ma żadnej nadziei (dla świata!) – ale mi mówi, że jeżeli Rosjanie zajmą resztę Europy, to SIĘ ROZPŁYNĄ – ich 250 milionów, w 500 milionach Europejczyków. Zabawne stanowisko tego Francuza! – Jakie siły rządzą (dziś!) światem? I jaka jest jego bezsila? Rougemont jest przeświadczony, że to koniec, że z chwilą bomby w Hiroszynie to już zobaczył. Ja też; i co z tego wynika? Nic. (Miłosz tego nie znosi!).

Śniadanie u Louis de Polignaca, ceremonia nad płytą grobową Pierre de Monaco, cocktail w salach „Hermitage’u”: czuję się – nawet nie okropnie, ale idiotycznie obcy – jak nigdy dotąd tutaj. Nawet nie niechęć do tej société de consommation [społeczeństwa konsumpcyjnego]. Gdzie indziej.

Monte Carlo, noc 13/14 maja

Zamach na papieża: zły znak, spodziewany w rozmnożonym świecie, w którym herostratowe⁸⁶ gesty się mnożą. W świecie, w którym [chce się] zwrócić uwagę na mnie, na siebie; w którym

nie sposób znaleźć tego, który czuje się zgubiony wśród milionów takich jak on, zgubionych.

Przez wszystkie godziny telewizja podawała obrazy, szczególnie: „Pourquoi un attentat contre ma personne”⁸⁷ miał mówić, podtrzymywany w samochodzie, a potem – po polsku – (spiker cytował): „Zdrowaś Mario”. Ostatnie wiadomości, po czterogodzinnej operacji, że się udała. Trzy kule dostał. Czekałem, czekam. Znak? Ofiara musi być niewinna, jak Gandhi, Chrystus? – Zawsze, od wyboru, czułem, jak on się śpieszy. Nawet o tym pisałem w „Kulturze” zeszłorocznej, po wizycie Jana Pawła w Paryżu. – Jakiś Turek strzelał, podobno ktoś drugi uciekł. Wszystko to przypadek? Wszystko przypadek? A potem budujemy, tworzymy nasze dzieje, naszą duszę, nasz świat.

Z Kennedym, Reaganem, też przypadek? Człowiek ma właściwość – (zdolność?) – doszukiwania się sensu – we wszystkim, we wszystkich zjawiskach. Ma tę właściwość i zdolność, bo szuka. Szuka sensu, a więc celu i przyczyny; szukając znajduje. Sens, cel, przyczyny i skutki.

Może też człowiek szukać bezsensu i przypadkowości. Wtedy znajduje bezsens i przypadkowość.

Jest więc człowiek stworem jak jakaś Wańka-wstańka. I tak, i do góry nogami. Można tak, można inaczej, można i odwrotnie.

Jest to zdumiewającą cechą stworzenia, którym jest człowiek.

Na całej przestrzeni wzrostu człowieczeństwa obserwować możemy wykorzystanie jego właściwości, jaką jest poszukiwanie sensu, celu i przyczyn oraz dawanie JAKIEJŚ odpowiedzi, która tę ludzką, poszukiwawczą właściwość zaspokaja.

Już często, już dawno cecha przeciwna – szukanie bezsensu i przypadku – drażyła umysły ludzkie. Filozofie i religie lub areligie dają nam o tym znać. One budują, one rujnują. Człowieka, jego świat i jego adaptację do świata czy też adaptację świata do jego ludzkiego rozmiaru, dymensji.

A najciekawszą tu cechą jest mądrość, przybierająca cechy zwątpienia.

Jakim cudem zwątpienie i sceptycyzm stroi się, przybiera kształt mądrości? Paradoks sięgający w historyczne mroki. A obok wiara, która zabija, nienawidzi, a jednocześnie rodzi i wzmacnia.

Przybiera kształt miłości i zaraz niszczy ten kształt, jest bezwzględna, z trudem przebija się przez labirynty tolerancji.

I Jan Paweł, głaszcząc dzieci po głowach, wśród kolorowych baloników, na oczach wpatrzonych w niego tłumów, dostaje trzy kule, wymierzone przez chłopca, o którego życiu pisać będą jutro wszystkie gazety świata. Większość terrorystów to młodzi chłopcy. Esesmani byli też piękni i młodzi. Rewolucjoniści też. I robotnicy gdańscy. Święty Jan Ewangelista też był młody. I Chrystus.

Może czas triumfu musiał być krótki i on – musiał: Polacy to znają. Błysk i widzenia, improwizacje. Można tu sprostac wizjom, które nas ścigają, wbrew wszystkim kalkulacjom i racjonalizmom. To lepiej nam odpowiada. Jakże to można być takim jak inni papieżem? Ksiądz Piotr, same wariactwa: jak długo można być Janem Pawłem II?

Tymczasem zszywają go, leczą, podczas gdy modły i różańce są odmawiane – a jak się mają, podobno dwie, ranne przy tej okazji osoby? Zaduszone w afrykańskim tłoku ofiary (w Brazylii też były ofiary...).

Symbol. Chodzi o symbol. Ludzie nie są sobie równi.

Tyle razy myślałem, co on myśli? „Pourquoi un attentat contre ma personne?”. A tamci – chodzi mi o tych tylko, którzy w paru krajach się podusili, w Polsce nie. W Polsce był porządek, we Francji i NRF też (czyli w krajach CYWILIZOWANYCH). Ale on chciał być wszędzie, działać, na zasadzie symbolu, całkiem świadomego symbolu.

Nie ma sposobu, by oczyścić taką sprawę z wszelkich naleciałości – to było możliwe w miasteczkach Judei albo na pustyniach – czy święty może być sławny? Chyba nie, choćby nie wiem jak wiedział to wszystko. Patrzyłem uważnie na jego wielkoczwartkową czy wielkopiątkową procesję z krzyżem do Colosseum. W deszczu, wytrwale, wiedział wszystko – i też to, że trzeba wytrzymać, nie dać się. Jak de Gaulle, gdy nie wkładał płaszcza ani parasola nie nosił. Francja – w jego pojęciu – nie mogła używać parasola.

Dziw Jana Pawła: może go uratują. Może będzie próbował być dalej tym samym. Ale – chyba nie będzie już tym samym. A jego następca – czy będzie przedostatnim papieżem?

Monte Carlo, 15 mai

Czekając na wiadomości w TV słyszę (po raz czwarty? piąty?) *Arcana Varèse'a*⁸⁸. Ciekawe, w jakim stopniu pokolenie z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych tego wieku żywi ciekawość wobec tych dzieł źle napisanych, źle brzmiących, powiem – amatorskich. Może szukają w nich usprawiedliwienia nieudolności czy niewydolności twórczej? Varèse jest przykładem tego, w przeciwieństwie do *Pietruszki* i *Święta wiosny*. Strawiński wyszukiwał wszystko przy fortepianie, ale z jakim mistrzostwem te poszukiwania zrealizował! Varèse grzebie się w niemożliwościach, stawia w partyturze znaki brutalizujące tę niemożność akcentami, które mają wypełnić pustkę, próżnię – powiem nawet: inwencyjną.

St. Cézaire, 16 mai

Premier et, probablement, dernier rêve chez Igor Markevitch⁸⁹ (Mme Orzechowska racontait toujours ses rêves à Maman).

Comme toujours, mes rêves sont des projections, où des bribes de mes désirs (rancunes vis-à-vis de moi-même, choses inavouées – je ne dis pas complexes, j'ai horreur des complexes!) mélanges des souvenirs – j'oublie tout cela la plupart du temps.

Hier, j'ai entendu les *Variations* pour piano, et réentendu (après +/- 50 ans) le *Psaume* pour orchestre et soprano dramatique d'Igor. Impression – puis, après, une sorte de tristesse (żal), que je ne lui ai pas apporté les bandes avec mes symphonies et les partitions, j'aime montrer ma musique qu'aux amis. Avec étonnement j'ai trouvé dans le psaume certaines similitudes (sic) d'écriture – avec grande force de réalisation cher Igor, logique et certitude de cette réalisation du PLAN, des successions de PLANS dans le psaume. Sûreté pianistique dans les *Variations*, immense broderie sur le thème si simple de Händel, d'où il part vers des lieux harmoniquement inattendus. Et cette musique dévoile des côtés qu'Igor ne montre pas – donc inconnus (ina-

voués?), de tendresse, lyrisme, zamyślenie – (dans *Paradis perdu*, je me souviens, de cette „note”).

Maison si bien tenue, avec un couple espagnol, donc, service, espace, vue splendide, choses qui me manquent le plus – (et je n’admets pas de souffrir de ces manques). Je lui ai menti, quand il m’a questionné sur la situation en Pologne, ne parlant pas de mes craintes, désespoir, espoirs aussi, mélange de fierté – mais comment placer cette CHOSE de chez nous dans le MONDE? (cette CHOSE qui nous est chère dans le monde?). Et puis j’ai passé sur ses questions des conditions de la vie et de ma vie à Varsovie, j’ai horreur d’être sujet de plaintes – etc.

Puis, suis tombé sur le journal de Nijiński. En imaginant tout ces liens: Nijiński, Kira, Diaghilev, Igor, tout ce que cela représente, croisé avec les souvenirs d’Igor (son livre).

J’ai ouvert une fenêtre, l’autre, je n’ai pu l’ouvrir, maladroit avec le filet de la moustiquaire...

Alors, j’ai dormi qq [quelques] heures et rêvé: Igor était assis à côté de moi, comme pendant l’audition de ses deux morceaux. Je lui ai dit: „Tu sais, je ne suis pas arrivé à ouvrir la fenêtre, à cause de cette moustiquaire...” Et alors Igor a pleuré. Et moi: „Igor, je sais. Je sais tout. Tu détestes quand quelque chose ne marche pas. Je te connais mieux que tu ne le crois”. C’était tout. Il pleurait toujours, et alors moi j’ai pleuré, et me suis réveillé. Le soleil se levait sur ce paysage si grand.

Il travaille maintenant. Manuel m’apporte le déjeuner. Je pars le soir: Paris, puis, je ne sais pas encore: Lourdes, San Francisco chez Miłosz, Mme Porter, Varsovie – ou alors Varsovie tout de suite, par Vaduz: (Marcelle me dit: „Tu n’as besoin de rien: un château, un grand jardin et beaucoup de service”. Je réponds: „Oui”. Puis je continue – d’exister).

Igor me téléphone. La vue, la maison, l’amitié – mais je ne veux rien écrire pour lui – et il m’est difficile d’écrire des pages du journal en français. –

Nouvelles: la „Prawda” juge inacceptable le programme de Solidarité. (Dois-je partir tout de suite, parler avec Michnik, Ku-roń?!) Jean Paul II – un peu mieux. Je sens toujours ces tremblements de terre⁹⁰.

Paryż, 18 maja, 50, rue Jacob

Wlepiam te strony pisane w St. Cézaire DLA Markevitcha. – Jak ludzie tu mogą pracować, a jak u nas?! Strach, co z Polski dostaje. Staś (list z 10 maja): „Tu, zewnątrz, w dalszym ciągu spokój zupełny, a równocześnie Mroźek absolutny: w sklepach spożywczych nie ma już w ogóle niczego, a jemy jak na Zachodzie – zaraz to wyjaśnię. Równocześnie zapowiadają kolejny etap ruiny, to znaczy spustoszenie sklepów przemysłowych: brak mydła, pończoch – na Rutkowskiego kolejka około 500 osób po rajstopy – garnków, materiałów etc. W resortach nic absolutnie się nie rusza, żadnych zmian, CZEKANIE NA ZAGŁADĘ w nadziei, że wszystko okaże się tylko koszmarnym snem. Jedyne zmiany, to wyrzucanie z partii lub zamykanie kolejnych ministrów, na których miejscu stawia się takich samych aparatczyków. Wszystko to możemy przeczytać w tygodnikach, wobec których komentarze Wolnej Europy są teraz bezradnym kwileniem niemowlęcia. Ostatnio czytają całe artykuły z «Solidarności» pod pozorem, że trudno dostępne. TV wiję się jak piskorz, stara się być obiektywna, co chwilami robi wrażenie surrealistycznego snu: z okazji 3 maja (sic, nie 1!) w Dzienniku TV widzimy po kolei: sekretarza komitetu gdańskiego Fiszbacha składającego kwiaty pod pomnikiem ofiar Grudnia, w Szczecinie zespół Wojska Polskiego tańczący w czamarach i kontuszach (nic nie zmyślam), a potem – w Warszawie – jakichś ludzi składających kwiaty Bierutowi, który zamknął Gomułkę, który w 1970 roku kazał strzelać do robotników. Wczoraj, w tymże Dzienniku pokazali w związku z chuligańsko-prowokacyjną awanturą w Otwocku, gdzie spalono dworcowy posterunek MO – Adama Michnika, który jako jedyny zdołał opanować tę awanturę, ponieważ milicja bała się cokolwiek zrobić, a Bujak i Jaworski z «Solidarności» byli bezsilni. Wystarczy? Wytlumacz to komukolwiek na Zachodzie, co się właściwie u nas dzieje”.

Dużo takich listów tu dostałem, ale w żadnym takiego zwięzłego – a – po naszymu – wszechstronnego opisu nie znalazłem.

Z Monte Carlo pojechałem do tego St. Cézaire – w domu takim, jaki ma Igor M[arkevitch] można pracować, komponować, pisać o symfoniach Beethovena. A u nas co? Tragizm naszej sytuacji, gdzie zapalek dostać nie można, czy operetka, bezhołowie i nieudolność? Może tego najbardziej się boję. Jak pisze Staś: „Zespół Wojska Polskiego tańczący w czamarach i kontuszach”... Patos umierającego prymasa, zamach na papieża, rozmodlone tłumy w całej Polsce – jego zdrowie ma przecie uratować Polskę – od czego? Od niedołęstwa? Boję się, że pomimo ZRYWU – (zrywać się to my potrafimy) – utoniemy we własnym błocie. Tego – tak – w „Kulturze” nie pisałem... Póki można było zwać wszystko na komunizm i Rosję, a przedtem na okupację hitlerowską – było... lżej! Ale obudzony Naród wpadający, nawet nie w anarchię, ale w gospodarczy chaos, to coś okropnego.

Paryż, 23 maja

Jeszcze Maisons, Józio, Giedroyc, któremu oddałem *Słowo od Redakcji* do numeru czerwcowego – o zamachu na papieża. Wojtek Karpiński⁹¹, Kisielewski ma przyjechać za parę dni, przyjazd brata Kazia z Rózią z Johannesburga, jazda do St. Cloud do Antków Radziwiłłów, gdzie Kaziowie mieszkają, obiad u Waplerów (był on ambasadorem Francji w Warszawie) – dobry artykuł Pauwelsa⁹² o Mitterrandzie – (byłem z Pauwelsem w korespondencji) – Francja zawsze spada na cztery łapy. Czy zawsze? Lot do Los Angeles zdecydowałem – miesiąc tam, bez wieści o Polsce – ale może *Fantazję* dopisać. List Stasia o Polsce czytałem wszędzie tu, Polakom, bo i oni już z trudem sobie tu wyobrazić mogą, jak nasz kraj wygląda w rzeczywistości.

Mój „zmysł dramatu”, tragedii, katastrofy. Realizuję [pojmuję]: w 1939 roku i potem. Teraz też. Te wieści z Polski! „Jako dzwon z cmentarza”; to nie cmentarz, to śmietnik. To, to mnie tak boli.

Nie wiem, czy w Ojai, dokąd mam polecieć 7 lipca na miesiąc, potrafię komponować. Muzyka wyleciała ze mnie, spłoszona. Wiadomości z Polski coraz gorsze.

Paryż, 29 maja

Wczoraj śmierć kardynała prymasa Stefana Wyszyńskiego; właśnie teraz. Tak, jak gdyby jego właśnie nie miało być przy zbliżającym się zjeździe partii, naciskach i konfliktach coraz większych, w łonie i poza łonem „Solidarności”, „Grunwaldu”⁹³, PZPR, Rosjan wreszcie, których stanowisko zdaje się coraz bardziej rysować: „a teraz co, a teraz kto”, jak pisał K.H. Rostworowski.

Postaci Wyszyńskiego, Wojtyły, nawet Wałęsy, są dziwne. Dziwnie to polskie: w polskiej roli, zarówno u nas, w kraju, jak w tej aurze, którą świat, zagranica im przypisuje. Pamiętam śmierć Piłsudskiego, który nie wydobyl tej władzy na arenę międzynarodową, bo Polska mało kogo obchodziła po I wojnie światowej. Teraz te trzy postaci „wyszły” na świat dzięki Rosji, która fascynuje i grozi światu, a te trzy nasze „W” pokazały, że można stawiać Rosji czoło – tej Rosji, której się wszyscy tak boją. I robić to bez wojny, bez powstań, bez innej katastrofy niż katastrofa ekonomiczna, która tak mało kogo w Polsce obchodzi. – Boję się, że jakieś totalne załamanie gospodarcze zepchnie nas do nędzy Biafry. Ale Polska nie jest Białą. Moje strachy zupełnie nie działają na młodszych, na przykład na Wojtkę Karpińskiego, który był u mnie wczoraj po południu. Nawet nie wiedział, że prymas rano umarł.

Czy potrafię sklecić w Ojai *Fantazję*?

„Figaro” cytuje tekst prymasa ze stycznia 1979: „Il fut un temps où l’on s’est moqué de notre religiosité, disant qu’elle est attardée, non conciliaire, traditionnelle, trop mariale; mais nous, nous croyons en Dieu avec une confiance enfantine tenant la main de notre mère”. Bodajże to tekst z wywiadu w „La Croix”. Świadczy, że Prymas dobrze zdawał sobie sprawę z „sytuacji religijnej” w Polsce i w świecie. I: „Nous avons trop à faire pour défendre et pour garder le dépôt de la foi, pour «tenir»”⁹⁴.

Tak. Ale? W jakim stopniu to jest realne, prawdziwe? A piszę to, świadom, jakie miliony mobilizował Wyszyński czy pa-

pież... I tu mam wątpliwości, z „tą całą polską wiarą”, tak obrzędową, procesyjną, manifestacyjną, oderwaną w gruncie rzeczy od osobistej, chrześcijańskiej postawy. La foie du charbonnier [prosta, naiwna wiara] – mówił zawsze ten sam, cytowany przeze mnie K.H. Rostworowski.

Z pewnością, jest to siła. Jaki jest jednak stosunek TEJ siły do siły twórczej, organizującej państwo, naród, wydajność itd.?

Kurier z Warszawy Jana Nowaka [Jeziorańskiego] – byłego dyrektora rozgłośni Wolna Europa – wydany przez londyńską „Odnowę” – to świetnie napisana historia jego udziału w konspiracji z lat okupacyjnych. Gdy to czytam, myślę, w jakim kraju coś takiego jest możliwe? W żadnym z zachodnich krajów – gdzie poświęcenie, odwaga, determinacja były czymś wyjątkowym. A u nas czymś tak powszechnym i naturalnym! – Jakby to był prawdziwy żywioł Polaków – woda dla ryb, powietrze dla ptaków. Jak jednak wygląda u nas SZTUKA RZĄDZENIA? Możemy to śledzić – w każdym razie – od XVI wieku, już od czasów jagiellońskich, gdy ta litewska dynastia jakby się ROZMYŁA w polskim społeczeństwie. Można tu dumać o Psychologie der Völker!⁹⁵

Paryż, 31 maja

Z numerem „L’Histoire”, w którym raz jeszcze cała sprawa mordów katyńskich, przez Montparnasse, Ogród Luksemburski, starymi śladami, gdy w Warszawie pogrzeb prymasa, ze mszą na placu Zwycięstwa, kardynałem Casarolim, który reprezentował chorego papieża, jeszcze jedna ogólnonarodowa manifestacja, z sekretarzem PZPR na tej mszy... Nasz naród żywiony historią, w braku artykułów pierwszej potrzeby? Kto tu, we Francji, myśli o historii?!

Paryż, 7 czerwca, niedziela

(przepisane u Józia Cz[apskiego])

Zwolon, pogrzeb, majak chorego chłopca, dziecka
w nocy

Jak oni to ceglami prędko zasuważą
I wapnem jak to oni prędko zarzucają...
Z początku plama była, na murze, wilgotna
Jak trumny cień, a potem schnąć zaczęła z boków
I tak się jak osoba zwężała suchotna
I jako runo szarych na niebie obłoków
I jak przelotny ptaka cień, na ścianie białej
I jako plama w oku patrzącego drżąca
Co nie jest na przedmiocie – ale latająca...

C.K. Norwid⁹⁶

Z listu prymasa kardynała Wyszyńskiego do J. Turowicza – kilka tygodni przed śmiercią, cytowanego w „Tygodniku Powszechnym” przez Turowicza (T.P. 7 VI 1981): „Życzę Ci wiele światła Boga i Mocy Wyznania Chrystusa przed ludźmi, gdyż tylko On się ostoi w nadchodzących burzach, które idą na świat. Trzeba niemal kosmicznej wiary, by zdołać przejść przez te burze – niezniszczonym. – Wasz «Tygodnik Powszechny» musi też się przygotować do tej rozprawy przez wiarę i męstwo”. (moje podkreślenia).

przepisane w Maisons Laffitte

później, w nocy i świtem

Widziałem marmurowo nieruchomą Marynię, poza życiem, a czasem drobny ruch ręką, oddech, świadczący o życiu. W Maisons Józio [Czapski], Teresa Dzieduszycka⁹⁷, Najder⁹⁸, Herling-Grudziński, Zosia Hertz⁹⁹. Rozmowa z Jerzym Giedroyciem. Wojtek Karpiński. Pożegnanie, jakbym wychodził na chwilę. Rano telefon ze Stasiem i Andrzejkiem, pełno mi nadawali odwagi, optymizmu, byli na dobrym obiedzie u Henisia Rostworowskiego. Będą tam, tacy sami, gdy w sierpniu będę wracał?

Staram się zawiesić nad sobą *Fantazję*. 26 dni w Ojai. Żeby skończyć. Skończyć!!

Jak spać? Jak się budzić?

Paryż, 9 czerwca

Rano telefon ze Stasiem. Spokój, spokojny. Wczoraj i dziś artykuły pt. *Ultimatum Breżniewa do Warszawy*. Wczoraj byłem u Romanów Palestrów. Miłosz jest parę dni w Polsce.

12 czerwca

[tu wklejony wycinek z „Le Monde” z 10 VI 1981 – list KC KPZR do KC PZPR z 5 VI 1981 z podkreśleniami Z.M.].

A Margueritte¹⁰⁰ pisze po plenum PZPR o porażce „twardych” i porażce Rosji – „les autres vaincus sont les Soviétiques” – „ils espéraient que l’envoi de leur lettre – vaste bluff politique...” itd. Rosja ma czas!¹⁰¹.

Wczoraj w Maisons Laffitte, gdzie Marynia Czapska umarła w nocy. Z Józiem na pocztę, parę telegramów wysłał. Nie chcę ani mogę tu pisać o śmierci. Widzę jej czarne skrzydła nad naszym życiem, jakby chciała zdusić kolejno, kraj po kraju, kontynenty, świat. Widzę, jak w telefonach z Polski kolejno gasną głosy, co mnie chcą pocieszać – Elżbieta, nawet Rostworowscy (H.), jeden Staś „trzyma mocno fason” – mówi mi o spokoju, że jedzą, żyją, najwięcej wiem z jego listów, które tu pokazuję. Jutro lecę do Londynu. Wrócę, w sierpniu, znowu przez Vaduz – i do Warszawy??!! Chyba tak – gdzież mogę się skryć, schować, przed wszystkim, co nam niebo i horyzont zasłania.

Londyn, 15 czerwca, 47 Bassein Park Rd., u Mini

Dzisiaj w kupionym na South Kensington „Spieglu” duży wywiad z Wałęsą. Kończy się:

„Spiegel”: (...) Wir möchten nur wissen, was Lech Walesa für das Allerwichtigste hält.

Wałęsa: Das Allerwichtigste für uns oder für euch?

„Spiegel”: Sowohl als auch.

Wałęsa: Also für uns ist das Allerwichtigste, dass wir unser

Kampf nicht verlieren. Für euch, ja, für den Westen gilt eigentlich das gleiche. Denn sollen wir nicht gewinnen, dann werdet auch ihr verlieren, wenn auch nur ganz allmähliches, Schadenbeweise [?]. Ich frage mich dauernd, ob ihr im Westen je imstande seid, das zu kapiern.

„Spiegel“: Herr Walesa, wir danken Ihnen für dieses Gespräch¹⁰².

26 czerwca

Najgłębszy świat to świat miłości –
dwa pierwsze słowa, co znaczą? I co znaczą dwa ostatnie?
Między nimi dwuliterowe TO
Splątane ciemności. Namietności? Wszystko.

Wczoraj prelekcja mecenasa Siły-Nowickiego¹⁰³ w Ognisku¹⁰⁴. O „Solidarności”, której jest głównym doradcą. Obrońcą wszystkich prawych, od kiedy go wypuszczono z więzienia. Polonia tujejsza nie orientowała się chyba, kto do nich z Polski przyjechał.

29 czerwca, w pociągu Oxford–Londyn:

Dwa dni w Waldrist, pięknym domu angielskim „The Grange”¹⁰⁵ z Luanem Grocholskim¹⁰⁶, jego żoną – Angielką i córeczką oraz Minią. Potem doba w domu Andrzeja Czajkowskiego¹⁰⁷ pod Oxfordem (Cumnor).

Zadziorna umysłowość i muzykalność, muzyczność Andrzeja, zawsze mnie fascynowała (jak ongiś Igora Markevitcha). Bardzo młody, bardzo ładny chłopiec temu 30 lat, gdy przyjechał z Paryża do Warszawy i uczył się, pracował u Szpinalskiego¹⁰⁸ – wszystko już wtedy wiedział: mógł przeczytać, w lot się nauczyć na pamięć i zagrać. Toteż mało się uczył, a dużo czytał i grał – z każdej partytury; cytuje przy klawiaturze wyjątki z oper, symfonii, kwartetów, jakby znał te rzeczy z dobrze zrobionych wyciągów na dwie ręce.

Wskutek tego nie może być ani wielkim pianistą, ani kompozytorem, ale jest „wielkim muzykiem”. Wygląda dziś na starzejącego się, z siwiejącą brodą, Żyda, którego opanowała żądza komponowania. Mój kontakt z nim okazał się trudny, bo przyniesiony jestem wypadkami w Polsce, a on od tego rodzaju „spraw” jest zupełnie odcięty. Nawet unikał rozmów o tym, co się dzieje u nas i na świecie, a ze mnie opadł ten furor [impet] artystyczny, bez którego nie można stworzyć dzieła sztuki. Andrzej – podobnie jak John Coblenz¹⁰⁹, czy Peter Heyworth¹¹⁰ – gdy go zapytać, czy kocha Anglię, odpowie, że dobrze mu jest w Anglii. Nie ma tego poczucia, że rodzina, dom, miejsce i kraj, w którym się mieszka, jest nadrzędną, ogarniającą jednostką wartości. To słowiańskie „doznanie”, formacja, jest podstawową daną europejskiej kultury – funkcjonuje czy funkcjonowała dotychczas od Pirenejów po Ural (nie będę się tu rozpisywał o tym, jak to funkcjonowało w azjatyckich krajach, od Egiptu po Chiny i Japonię). Żydzi w diasporze, pomimo wszystkich wartości, których tyle wnieśli do kultur narodowych i wielu patriotycznych gestów, jakie świadczą o ich przywiązaniu do miejsc zamieszkania, zawsze byli i są skłonni do stanowiska *ibi patria ubi bene* [tam ojczyzna gdzie (jest) dobrze]. Mogą mieszkać w Moskwie, Warszawie, Berlinie czy Nowym Jorku, byle im tam mieszkać i pracować zezwolono. Przypominają w tym Amerykanów, dla których zmiana miejsca zamieszkania i kraju jest też funkcją zależną od warunków bytu. Nazywam to i określam mianem kultur osiadłych i koczowniczych, w których indywiduum jest wymienne. Dziś na całym świecie zapanował ten „trend” wędrowności ludów w poszukiwaniu lepszych warunków pracy i egzystencji, rysuje się wszędzie – od pracowników fizycznych i emigrujących, po intelektualistów, uczonych i artystów, którzy uciekają z Niemiec, Rosji, Chin, z Europy do Ameryk czy na południową półkulę.

Andrzej Czajkowski siedzi więc w Oxfordzie jak Leszek Kołakowski¹¹¹, jak Panufnik w Twickenham, Jaś, mój bratanek – w Boulder, a jego brat w Paryżu. Porozumienie nasze było już trudne, choć przecie za młodu mogłem w każdym kraju zamieszkać. Ale potem, po 1939 roku, stało się to niemożliwe. A teraz mogę już tylko psioczyć na Polskę i Polaków, na *polnische Wirtschaft*. A gdy

się znalazłem w przedziale odchodzącego do Londynu pociągu – patrzałem wzruszony na młode jeszcze oczy Andrzeja i czekałem na moment, gdy będę sam. I tu czekam na moment, gdy będę sam. W Ojai spróbuję wydobyć coś, czego kształt nie dość precyzyjnie mi się rysuje. W Warszawie będę leżał bierny, na dnie. Czy mam to nazwać „w oku cyklonu”? Nie próbuję analizować tego, czego analizować nie chcę ani potrafię. Przypuszczam, że w komorze gazowej czekałbym nieruchomy na uduszenie – a wiadomo w jakim stanie wyciągano stamtąd widłami gmatwaninę trupów.

Człowiek, który próbuje wyrazić swoją duszę, zawsze cierpi. A człowiek, który cierpi, jak może coś wyrazić? Są jednak różne gatunki cierpienia. Jak stopnie. Stopnie piekieł, rajów, kręgi niebieskie. Kosmiczne kręgi, które porządkujemy. Trudzimy się, żeby ich wizję jakoś realizować [wyrażać] w obrazach, które – jak piramida czy stożek – stoją na swojej podstawie albo szpicem na dół. Ode mnie po świat, od świata po mnie, po punkt, którym jestem. Bardzo dziwna konfiguracja. I jakże zależna od tego punktu, któremu mój własny wymiar nadaje. Jedyny, osobny. „Jestem” – co styka się z boskim „jam jest, który jest”. Który myśle, coś robię, zawsze „ja”. Tu czuję niemal wrogość do kobiecego „on”. Gdzieś tutaj leży może odwieczna różnica kobiecości i męskości, chińskie i wszędzie obecne pojęcie przeciwieństw, różnic plus i minus, współrzędnych i czarno-białych, w ciemnościach i świetle, istniejących i nieistniejących propozycji, które w fizyce dzieją się na płaszczyznach materii i antymaterii. Na płaszczyznach, których nie rozumiem, ale które mogę odczuwać jako czas i jego negację, względność.

Nie można wyrazić muzyką przepaści. Nie można wyrazić czymś nicości, jak nie można skończonym objąć nieskończoności.

Czym jest uczucie, gdy nie znamy jego miejsca i gdy płaczemy z reakcją nerwów, a myśli z czuciem wiążemy? Przechucie nas nie uczy, uczenie do wniosków ostatecznych nie prowadzi. Poruszamy się od bariery do bariery, jak krowy i barany na pastwiskach – tyle że raz są one wyjedzone, to znowu obfite, że możemy na nich przez jakiś czas baraszkować – mówić potem o czasach obfitych, o raju czy o złotym wieku. Ale nie możemy tam zostać dłużej. Już zaraz i znowu porywa nas demon,

każe zmieniać miejsce postoju. Wszystko z chwili na chwilę czai się, żeby nas zjeść, powalić, przenieść i zmienić. Robak czy owad, atakujący szybę czy gładką ścianę, wydaje nam się idiotyczny. Doszliśmy teraz do tej ściany czy szyby. Człowiek nie może przejść na drugą stronę ani wyjść na zewnątrz. To osobliwa chwila naszego rozwoju, ile czasu potrwa? Czy i nasze „niedługo”, nasze „już” da się zmierzyć i policzyć?

Próby zwalczenia naszego nihilistycznego „wszystko to na nic”, „prochem i niczym jesteśmy”, w Księdze Hioba już zawarty proces, wyrażony z taką mocą u progu znanej nam, tak krótkiej historii. Mroki przeszłości, mgnienie oka w czasie, który ani nie pędzi, ani się wlecze.

Indywidualna obrzydliwość; obrzydliwość indywidualności. Przekształcamy je we wspaniałość. Stawiamy poszczególne egzemplarze na ołtarzach, oświetlamy je, żeby zapomnieć i nie widzieć całości, okropnej miazgi. Trupów, które rozgrabiają oprawcy, wrzucają do pieców, żeby zaginał ślad po tej masie.

Ojai, 13 lipca, poniedziałek, godz. 21

Czekam na połączenie telefoniczne z Etusią (Stojowską) w Warszawie. Noc zaszła, świerszcz, jeden, gwiazdy, księżyc idzie do pełni. Cały „Gasthaus” pani Porter jest dla mnie, zerwałem pomarańcze na jutro. Od środy (8 VII) piszę od rana do nocy *Fantazję*, po obiedzie leżę 20–30 minut całkiem goły na subtropikalnym słońcu. Pani Porter wycina mi z „Los Angeles Times” artykuły o Polsce, Hellen, niemiecka kucharka, pożycza mi „California Staats Zeitung” wydawane od 61 lat. Zostaje mi 21 dni, równo 3 tygodnie, żeby skończyć tę *Fantazję*, bez względu na to, co się u nas dzieje, stanie. Nie chcę widzieć nikogo, nie pojadę do Jasiów ani do Miłosza w Berkeley, szkoda tych dni, zmarnowałem ich tyle!

Warunki tu są idealne, takie, jakie powinny być normalnie, gdy się chce COŚ zrobić. Panufnik w Twickenham, Andrzej Czajkowski w Oxfordzie mają to. Jak wszyscy, którzy kiedykolwiek robili sztukę w czasach i miejscach, które na to pozwalały. Za mie-

siąc mam być w Polsce; myślę o jej gospodarce ze wstydem, o stanie kraju z jakimś zaciętym obrzydzeniem. Anglicy, Francuzi, Amerykanie, których spotykałem, z zachwytem mówią o bohaterstwie i przykładzie, który Polska daje światu. Słucham tego pokornie – Pani Porter jednak spytała mnie: „Pourquoi n’y a-t-il rien à manger – il y a pourtant des paysans et de la terre – que font-ils?”¹¹². Bełkoczę coś, że to naumyślnie, że ustrój, że niszczy on możliwości pracy – ale sam w to nie wierzę na sto procent. Może w jakimś mniejszym procencie istotnie... Czemu jednak Meksyk, o miedzę stąd, jest biedny, a Stany są bogate? Czy każdy kraj nie zarabia na siebie sam? Nie wyobrażam sobie, żeby Czesi, Węgrzy czy Słowacy doprowadzić mogli swoje kraje do stanu, w którym znajduje się PRL. Tak, ale my zbudujemy może polski socjalizm?! Może...

Telefon nie dzwoni. „Wykręcić” stąd Warszawy nie można. Ten telefon – czekanie – myślenie, że tam jest już jutro rano, jutro zjazdu PZPR, wybija mnie z mojej muzyki. Stałem przed miejscem, w którym cała pasja tej rzeczy ma się wyładować. Nazywają to w muzyce punktem kulminacyjnym. Czy potrafię to zrobić jutro?

Ojai, godz. 23.00

Tam już ósma rano, telefonu nie ma. Co się tam dzieje? Gryzę pióro. Wezmę rohypnol, żeby spać. Czy ten brak telefonicznego połączenia znaczy, że ono jest zerwane? Pani Porter próbuje je uzyskać od wczoraj. Jak mam jutro siadać do kompozycji? A nic innego robić nie mogę ani potrafię. – Etusia, Staś, Andrzejek – czy idą do swojej roboty? Co z nimi się dzieje? – Strachy we mnie, strachy stamtąd, o nich wszystkich. O świat.

I tylko to? Tylko tyle?

Noc tutaj, co za noc! Ten kraj oddycha, od Pacyfiku po Atlantyk, i rzuciło mnie tu, na skraj Zachodu; przytomny i nieprzytomny, co mogę z tego zrobić? Czy człowiek może coś zrobić? Jeszcze coś zrobić? W chwili, ostatniej, może przedostatniej? Wzdycham do Pana Boga, gdy już nic mi więcej nie pozostaje. Wyjść, podle-

wać wysychające trawy kalifornijskie. Udawać, a jednocześnie być tu, i tylko tu, w terażniejszości.

Spać.

Nie krzyczeć.

Jaka jest łączność tego, co się dzieje i co dzieje się we mnie, odczuwającym tylko koronę tych drzew, co tworzą las, przestrzeń i świat zbyt wielki dla jednego człowieka, który nie ma żadnej ze światem łączności poza sercem, myślą, uczuciem. A wszystko to może tylko zamknąć – i albo się odciąć, wyłączyć, albo bezsilnie trwać w istnieniu swoim, bo nie może objąć istnienia tego uniwersum, które wtopione jest w coś – co imaginuje [wyobraża sobie] wielkie i boskim nazywa. – Czymże innym jest pojedynek Mickiewicza z istnością, której wrywki tylko próbował wyrazić?

Kłamałbym, mówiąc, że serce mi krwawi. Nic nie krwawi. Jem, śpię, nie skarżę się, że budzę się po kilka razy, czekając na świt i świt przesypiając, kradnąc godziny i chwile, w których próbuję powiedzieć coś, czego i tak nikt nie wysłyszy ani wysłucha.

A tylko to łączy mnie z czymś, co czuję – wielkie i ogromne, bo przerastające moje małe istnienie, [do] którego chyba [niczym] mrówka, biegnąca w przypadkowych (pozornie?) meandrach gdzieś, do jakiegoś celu śpieszę się w zygzakach.

Boże zmiłuj się nad nami.

W nieznosnym teatralizmie *Requiem* Verdiego tylko złość mnie bierze na tę płaską teatralność – *Requiem*, *Dies irae*, *Libera me* – wszystko tchnie nienawistną mi już ilustracją. To przecie nie straszego ten tekst – a on straszy muzyką.

Gdybym potrafił jeszcze dać *Introibo ad altare Dei*¹¹³ – ale nie wiem jak to potrafić – podejść do Ołtarza Pańskiego.

Nieumiejętność, bełkot, który zdaje mi się, że coś waży w tej przeogromnej dla człowieka sferze tego, co zrobił on, ten człowiek właśnie. Czym jest to wszystko, co nagromadził od paru tysięcy lat?

Czemu chcę być tam, szukać kartofli, sznurowadeł, mydła, zapalek? Nigdy nie czułem się ani chciałem wyłączać się z tej masy, do której czuję, że należę, a jednocześnie wiem, że nie należę do niej – żem jest w jakiś sposób tym, którego świadomość należy do „wybranych”. Ale jak ten WYBÓR wytłumaczyć mogę?

Nie mam poczucia zasługi albo winy.

Ojai, 15 lipca

i pisać tak, żeby się nie wstydzić, tak jak płynie, nie szukać daleko, zawierzyć, skoro jestem taki, jaki jestem. Może to się uda? –

A zresztą, czy kiedykolwiek dzieło ludzkie równa się kształtom drzewa, kolorom nieba, owocom i zwierzętom, których gracia czy monstrualność jest tylko nam właściwym pojęciem. Ale konie greckie czy chińskie, które widziałem w Paryżu – (brązy z czasu dynastii Han) – nie są bliższe idei (?) konia niż prawdziwy koń, który się rusza, patrzy?¹¹⁴.

Wszystko to, boskie w nas i nieosiągalne, chyba że – czasami możemy sprawić, że powstaje rzecz żywa i trwała, nieruchoma, zatrzymana na jakiś CZAS.

Nie mogę tu dostać połączenia z Warszawą. Zawsze przeciężona linia.

Ojai, 22/23 lipca, trzecia w nocy

Po dwóch godzinach spania – (za mało rohypnolu działa tak krótko) – widzę zupełnie cichy ogród oświetlony późnym księżycem. Wszystkie drzwi i okna otwarte – tylko siatki od komarów i innych (ewentualnych) zwierzaków. Ta cichość bezwietrzna aż dzwoni w uszach – nawet nieliczne świerszcze, tak głośne w Afryce południowej, śpią. Raz słyszałem sowę. Po północy coś kilka razy w wielkie okna stuknęło – sowa? Może wielka ćma?

Dooruję zagon *Fantazji* – jak zwykle ucieka mi jej zamierzona ciągłość muzyczna w bok – piszę bardziej co potrafię, niż co zamierzam.

W takiej ciszy mógłbym dużo komponować. Wszystkiego w bród – zrywam pomarańcze, żeby je rano wycisnąć i zaczynać dzień od tego. W nocy zjadam dwie brzoskwinie. Lewa ręka bardzo nieraz dokucza, ale to nie jest żaden ból.

Mam tu jeszcze dwanaście dni.

Yo[landa] de Manziarly, siostra pani Porter, dała mi 400 stron maszynopisu, opisu życia i cudów, które Sai Baba¹¹⁵ w Indiach robi – wcielenie Boga, Bóg żywy, którego duże fotografie, w wieńcu

czarnej czupryny, mam nad łóżkiem w pokoju Saszy de M[an-ziarly] w Paryżu, i ta, w tym ogromnym studio, którego całą ozdobą są kubistyczne obrazy *Survage'a*¹¹⁶. Te nieprawdopodobne historie materializacji przedmiotów, uzdrowień, nawet wskrzeszenia w 1953 roku pana V. Radhakrishny – przyrównywane do wskrzeszenia Łazarza. Po trzech dniach ciało pana Radhakrishny zaczęło podśmierdywać – Sai Baba zamknął się w pokoju z tym ciałem, gdy wyszedł, zmarły siedział na łóżku, zadowolony i z dobrym apetytem.

Takie historie są tu obiegową monetą, brak pierwszych 30 stron nie pozwala mi podać autora tej 400-stronicowej książki o żywym Bogu, który opiekuje się z bliska i z daleka mnóstwem wyznawców, którzy go tam czczą. Pani Porter pokazywała mi swoje, rzeczywiście wspaniałe, brylanty od Boucheron¹¹⁷, które trzyma w szufladzie między pończochami. Pytałem, czy się nie boi, że jej to ukradną w tych na przestrzał otwartych tu domach, w jednym mieszka ona, całkiem sama, 85-letnia. W drugim teraz ja, który to piszę. Powiedziała mi: póki Sai Baba się mną opiekuje, nic mi się nie stanie. Gdy on zezwoli na kradzież, ukradną mi to równie łatwo z sejfów w banku, jak tu. Asekuracja takich brylantów kosztuje oczy z głowy¹¹⁸ – nie warto. Jej interesy w Chicago zdają się iść bardzo dobrze. Tu chodzi jak dziadówka w dżinsach i plewi ogród na subtropikalnym słońcu – jest niezmordowana.

W przerwach odczytuję też eseje Montaigne'a¹¹⁹ – chyba ta umysłowość jest mi najbliższa – zwłaszcza teraz, gdy Polska grzęźnie w bezwładzie, a Kalifornia szuka duchowości w Indiach czy Tybecie.

Już chyba nie wyreguluję mojego spania, gdy nawet tu, po dwóch godzinach krązę po domu – wychodzę na dwór, gdzie po upalnym dniu jest zawsze chłodno w nocy. Pani Porter mówi, że to dolina Ojai jest magiczna. Zza góry słońce późno wstaje i wcześniej zapada. Jak u Miłosza, z którym miałem długą rozmowę telefoniczną: „Polska potrzebuje wieszczki” powiedział mi po powrocie z kilku (kilkunastu?)-dniowego pobytu u nas.

Polska! Wyszyński, Wałęsa, Wojtyła, teraz kupa Polaków obiegła Miłosza, jakby coś tam, z Sai Babą, którego tłumy jak Jana